KAMENA

DWUTYGODNIK LITERACKI

LUBLIN

15.IV.1960

Nr 7 (197)

ROK XXVII

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: Józef Weyssenhoff • Autobusowe dumania • Czechow w setną rocznicę urodzin • Listy muzyczne • Jeden z tych, co przeżyli • Ostatnia kula • Literat wśród sportowców • Z miłości • Prawie baedeker lubelski • I in.

FRONTEM do TEMIDY

STANISŁAW BRUDT

Zamieszczając na tym miejscu artykuł Sędziego Sądu Wojewódzkiego w Lublinie mgr. S. Brudta zachęcamy Czytelników do wypowiadania się na temat poruszony przez autora.

Redakcja

Dobrze się dzieje, że na temat zagadnień oscylujących wokół moralności i prawa w ogóle, a związanych z praktycznym działaniem organów wymiaru sprawiedliwości (sądu, prokuratury i adwokatury) w szczególności — zabiera coraz częściej, coraz śmielej i trafnej głos literat, pisze w codziennej prasie i czasopismach dziennikarz, wypowiada się przy różnych okolicznościach mniej lub więcej słusznie i przekonująco przeciętny inteligent, robotnik czy chłop. Nie jest źle, że gabinet sędziego śledczego czy prokuratora i sala sądowa stają się miejscem, gdzie rozgrywa się akcja powieści, dramatu lub komedii, sędzia zaś albo adwokat staje się głównym ich bohaterem. Nie bez głębszej przyczyny sąd zaczyna być coraz bardziej „teatralny", a problematyka sądowa, przeważnie ta z zakresu spraw karnych, stanowiąca niewyczerpane źródło natchnień dla pisarzy, zaczyna w poważnej mierze decydować o sytuacji materialnej niektórych wydawnictw.

Szerokie zaabsorbowanie społeczeństwa problematyką społeczno-obyczajową, zagadnieniami z zakresu prawa i moralności, należy ocenić jako zjawisko pozytywne tym bardziej, że ma miejsce w ł a ś n i e w okresie dokonywania się głębokich zmian społeczno-ekonomicznych i ustrojowych, które nie pozostaną też bez wpływu na zmianę instytucji prawa. Rozbudzanie wrażliwości opinii publicznej na zjawiska z zakresu prawa, moralności, obyczaju i zwyczaju, ukazywanie na konkretnych przykładach prawdziwie ludzkiej sprawiedliwości — przyspieszy dokonanie się zmian.

Trzeba obiektywnie stwierdzić, że wypowiedzi o ideologicznych założeniach prawa socjalistycznego, jak również o socjalistycznej praworządności są na ogół słuszne i mogą wywierać dodatni wpływ na rozwój i umacnianie się nowego prawa. Trafiają się jednak (na szczęście dość rzadko) wypowiedzi błędne.

Trudno kruszyć kopie o twierdzenie, jakoby w aparacie socjalistycznego wymiaru sprawiedliwości wszystko było doprowadzone do perfekcji, że wszystko pracuje jak zegarek itd. Prawnicy to ludzie jak wszyscy inni. Są wśród nich jednostki wybitne i przeciętne, o silnych i słabych charakterach, o twardym i giętkim kręgosłupie. Wiemy, że są sędziowie, prokuratorzy i adwokaci wzorowi, ale oczywiście są też i tacy, którzy narażają na szwank honor prawnika.

Wobec tego nie możemy się spodziewać, że już od jutra — za miesiąc, za jakiś rok-dwa, prawo stanie się w Polsce Ludowej aksjomatem, czymś niezmiennym, skończenie ukształtowanym, a prawnicy ludźmi nieomylnymi, doskonałymi, nie podlegającymi krytyce. Toteż gdy krytyczne wypowiedzi pod adresem prawników realizujących wymogi prawa w praktycznym życiu lub rozstrzygających problemy prawne z punktu widzenia czysto teoretycznego — są oparte na faktach, nie można mieć o nie pretensji.

Inaczej jest, kiedy mamy do czynienia z ogólnym sformułowaniem krytycznym dotyczącym ideologicznych założeń prawa socjalistycznego w ogóle, a nie potwierdzonym konkretnymi faktami.

Otóż na przykład na łamach „Nowej Kultury" — jeden ze znanych publicystów (Ob. Ł.) pisze („sobie") beztrosko w ten sposób: „...czuję odrazę do wszelkich przepisów prawnych, — wolę oceniać każdą sytuację prosto, na chłopski rozum"... I dalej bardziej jeszcze ogólnie: „...co innego paragrafy, za którymi kryje się opieszałość, biurokracja, formalizm itd., a co innego życie, które jedynie ukazuje prawdę"...

Nie wiem, co skłoniło Ob. Ł. do tak przeraźliwie „szczerej" manifestacji swych uczuć do wszystkiego, co wiąże się z prawem, i na czym oparł to żenujące, powiedziałbym nawet — kompromitujące uogólnienie. W każdym bądź razie podszedł on niepoważnie do poważnych zagadnień, przejawił rażący brak poczucia odpowiedzialności za swoje słowo. Wszakże mówiąc o prawie („paragrafach") w ogóle nie wyłączał chyba i socjalistycznego prawa...

Czy nie można by nazwać tego przynajmniej... niewinną formą podżegania do omijania prawa?

Wydaje mi się skądinąd, że na Lubelszczyźnie zainteresowanie problematyką prawną jest za małe, że w porównaniu do innych województw Lubelszczyzna dziedzinę prawa traktuje jakby na marginesie „bardziej istotnych" spraw. Wprawdzie dzienniki miejscowe („Kurier Lubelski" i „Sztandar Ludu") dość często sięgają po materiał do sądów i prokuratur, jednakże we wszystkich przypadkach chodziło tu raczej i chodzi o wiadomości i informacje o charakterze sensacyjnym, o relacjonowanie pewnych mniej lub więcej trafnych decyzji i orzeczeń sądowych. Żaden z tych dzienników nie pokusił się dotąd spojrzeć na sprawy spod znaku Temidy głębiej, szerzej, bardziej od wewnętrznej niż od zewnętrznej strony.

Świat literacki na Lubelszczyźnie też za mało interesuje się problematyką z zakresu prawa i czynnikami wymiaru sprawiedliwości. Dobrze, jeśli literat lubelski coraz częściej zagląda do ośrodków zdrowia, interesuje się rolą i posłannictwem lekarza, zagląda do fabryk, do majątków państwowych, interesuje się robotnikiem, jego nową pozycją w gospodarce narodowej — to dziedziny niewyczerpanych jeszcze możliwości twórczych. Ale dlaczego pomija dziedzinę prawa? Przecież prawnik i literat mają ze sobą wiele wspólnego — obaj poszukują prawdy, walczą o sprawiedliwość, o podniesienie na wyższy poziom moralności, piętnują błędy, nadużycia. Prawników z literatami chyba nic nie dzieli, raczej wszystko ich łączy... A więc skąd ta powściągliwość, skąd ta jakby nieśmiałość?

Nie tylko wskazaną, ale wręcz pożądaną jest rzeczą, by literaci lubelscy: poeci, powieściopisarze, krytycy — przyszli w sukurs czynnikom wymiaru sprawiedliwości w dziedzinie umacniania i popularyzacji nowego prawa, socjalistycznego porządku prawnego, w interesie całego społeczeństwa na Lubelszczyźnie, która tej pomocy szczególnie potrzebuje.

Czy nie byłoby słuszne, ażeby organ Lubelskiego Oddziału ZLP „Kamena" nie ograniczał zakresu swej problematyki do zagadnień literatury, sztuki i zagadnień kulturalnych? Czy nie wyszłoby na dobre zarówno samemu pismu, jak i terenowi Lubelszczyzny, ażeby ten dwutygodnik poruszał także zagadnienia społeczno-obyczajowe, zwyczajowe, żeby odważnie zabierał głos w sprawach z zakresu prawa i moralności? Podniesie to atrakcyjność pisma, a co za tym idzie — wpłynie na rozszerzenie zasięgu jego oddziaływania.

Wesołych Świąt Drodzy Czytelnicy!

ZOFIA STRYJEŃSKA — ŚMIGUS

Żywot i myśli

ZYGMUNTA PODFILIPSKIEGO

(fragment)

JÓZEF WEYSSENHOFF

W Lublin'e każdy z nas miał osobne sprawy: spotkaliśmy się dopiero przy późnym śniadaniu. Dla mieszkańców wsi, przybyłych z okolic, była to pora obiadowa, więc tłum w niewielkich pokojach najlepszej miejscowej restauracji był znaczny. Znalazło się paru znajomych, do których przysiedliśmy się. Kilkanaście osób jechało przez Lublin w powrocie z prowincjonalnych wyścigów, a w niewielkim mieście, gdy „panowie przyjadą" czyni się zaraz pełno. Wyrazy *turf, start, finish* wymawiano głośno z pewną arystokratyczną wrażliwością, czasem znów w kombinacjach angielsko-polskich, jak na przykład: „szkapa finiszowała siarczyście". Te rozmowy prowadzili przeważnie młodsi. Jeden z nich, dziarski, opalony chłopiec, targował się z drugim o konia, przy czym udawał Żyda; trwało to pół godziny wśród stałego efektu i wybuchów zdrowego śmiechu.

Nie wiedzieli ci wszyscy, że obok nich, pobłażliwie milcząc, siedzi jeden z najbieglejszych w Polsce znawców koni i wyścigów. Gdyby kto nawet wymówił nazwisko Podfilipskiego, umilkliby.

Towarzysze, którzy nam przypadli w udziale, byli innego gatunku. Obaj z głębokiej prowincji, rzadcy nawet goście w Lublinie. Jeden z nich, pan Apolinary, należał do ginącego już typu szlachty, takiej, jaką ją sam Pan Bóg stworzył, zadowolonej z siebie, a nigdy z urodzaju.

— Cóż tam słychać *ex publicis?* — pytał nas.

— Tyle, ile piszą w gazetach. Czas jest dość cichy.

— Kiedy ja, dobrodzieje moi, nie czytuję gazet.

— Jak to! żadnej?

— A żadnej. Chciałem się kiedyś do gazet przekonać, bo mnie pan Jan, obecny tu sąsiad mój i dobrodziej, do tego obligował. Czytam i czytam: same dalsze ciągi! Gdzież początki? Zacząłem raz od nowego roku — znów dalsze ciągi! Więc porzuciłem całą imprezę, dobrodzieje moi, do diabła, i równie dokładnie wiem o wszystkim. Tu się człowiek zapyta, tam sami ci powiedzą — wychodzi na jedno.

— Ee, sąsiad tak się tylko chwali — odrzekł pan Jan — sam go często widywałem nad gazetą.

— Tylko kiedy gdzie jaka wojna. Wtedy już pilno mi wiedzieć, dobrodzieju mój; więc łapię gazetę gdzie się zdarzy i rżnę przegląd polityczny od a do z.

— Wie pan — rzekł z uśmiechem Podfilipski — że mamy pod tym względem wspólne wstręty. Ja także nie czytuję naszych gazet.

— Pan?! — szeroko otworzył oczy pan Apolinary i wzniósł do góry ręce, zbrojne w nóż i widelec.

— Tak, panie. Oczywiście przejrzę co rano telegramy, kurs giełdy — to są informacje konieczne. Ale żeby tak czytać jaki artykuł wstępny, jaką polemikę dwóch filarów danej instytucji o dach tejże instytucji, to mi do głowy nie przychodzi. Wolę już, nawet w Warszawie, czytywać zagraniczne gazety. A kiedy je czytuję tam, sprawiają mi prawdziwą przyjemność, dają mi sumę wszystkich walk, prądów, potrzeb chwili obecnej; są mi niezbędne jak rozmowa z rozumnym i wszędzie bywającym człowiekiem. U nas zaś — co to jest? Sposób do życia dla ubogich... Szanuję wszelką nędzę, ale wolę się z nią nie spotykać co dzień...

Lubelskie wędrówki w czasie

Józef Weyssenhoff (1860-1932)

ZOFIA WÓJCIKOWSKA

Ilekroć pisano o Józefie Weyssenhoffie, autorze „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego", podkreślano jego niezrównane opisy przyrody, ciętą, choć zręcznie zamaskowaną satyrę, czystą, doskonałą polszczyznę.

Urodził się w roku 1860 we wsi Kolano na Podlasiu. Nie te jednak strony odegrały w jego życiu rolę decydującą, mimo iż w twórczości często będzie wracać motyw ukochania kraju dzieciństwa, uroku jego krajobrazów. Ukończywszy gimnazjum w Warszawie, rozpoczął w r. 1879 studia prawnicze na Uniwersytecie w Dorpacie. W rok później ciotka Helena Woyniłłowiczowa przekazuje bratankowi w testamencie fortunę w postaci folwarku Samoklęski w powiecie lubartowskim. Po ukończeniu studiów 23-letni dziedzic olbrzymich dóbr decyduje się zamieszkać w Samoklęskach.

„Powróciwszy do kraju, osiadłem w odziedziczonym pięknym majątku ziemskim, stałem się „obywatelem" według utartego typu, bez technicznego przygotowania do nowego zawodu, ze wszystkimi konsekwencjami wynikającymi z zasadniczego ominięcia swego naturalnego powołania. Był to bezwarunkowo najbardziej jałowy okres mojego życia. Jako dorobki umysłowe z owych czasów mogę zanotować tylko tyle, że zgromadziłem piękną bibliotekę i zbiory przedmiotów sztuki, że dużo czytałem i przyglądałem się pilnie tłumom i indywiduom ludzkim. Z lat 1883 do 1890 nie mam nic godnego pokazania z mojej produkcji literackiej" („Mój Pamiętnik Literacki"). Olbrzymia fortuna oraz wrodzony sybarytyzm powodują, że przyszły pisarz spędzał lata pobytu w Samoklęskach na polowaniach, zjazdach towarzyskich, przyjęciach, na grze w karty; a jeśli prowincja zaczynała go nudzić, szukał wrażeń w Warszawie, w Paryżu, na Riwierze. Prowadził życie beztroskie i rozrzutne (z hojności słynął również wśród ludzi folwarcznych). Zgromadził jednak w tych latach spędzonych w Samoklęskach, a następnie w Warszawie (był członkiem „Klubu Myśliwskiego") pierwszorzędny materiał obserwacyjny, który wykorzystał w najlepszej swej powieści „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego" — kopalni subtelnej, niewidocznej omal ironii (byli krytycy, którzy jej nie dostrzegli!), skierowanej przeciw warstwie, z której wyrósł, wśród której spędził młodość — przeciw ziemiaństwu. Literatura wzbogaciła się o wspaniałą postać Podfilipskiego, Weyssenhoff zdobył sławę i popularność (I wyd. 1898, II wyd. 1898, III wyd. 1899, IV wyd. 1904...). Książka wywołała zdumienie i podziw. Jak powstał „Podfilipski" i narodził się prawdziwy pisarz? Hulaszczy tryb życia i wzrastająca namiętność hazardowej gry w karty doprowadziła Weyssenhoffa do zupełnej ruiny majątkowej. Jedna noc spędzona w petersburskim Yacht Klubie przy grze w pokera kosztowała go więcej niż majątek. W dwa lata po owej pamiętnej nocy (rok 1896) Samoklęski przestają być własnością rodu Weyssenhoffów. Przyszły autor „Puszczy" — bywalec salonów, arystokrata o szerokim geście — znalazł się w sytuacji nowej i ciężkiej. Utrata majątku była równoznaczna z odsunięciem się od sfer ziemiańskich. W tym właśnie okresie powstaje jedyne w swoim rodzaju dzieło, przepojone ironią subtelną, lecz wymowną. Moment ten podkreśla A. Grzymała-Siedlecki: „Jeżeli więc z pewnym zapamiętaniem oddał się tworzeniu, to bodaj głównie dlatego, by w świecie nowych wrażeń móc zapomnieć o...zdeklasowaniu. Słodycze procesów twórczych dopomogły mu do zapomnienia dawnych swych uprzywilejowań."

W późniejszej twórczości podejmował Weyssenhoff nieraz jeszcze próbę ironicznego spojrzenia na przedstawicieli arystokracji („Sprawa Dołęgi" 1901, „Dni polityczne" 1906—1908, „Unia" 1910). Niestety nie potrafił już wyjść poza stworzony typ Podfilipskiego. Źródło nowych wzruszeń literackich odnalazł natomiast w przyrodzie. W powieściach takich, jak: „Soból i panna" (1911) lub „Puszcza" (1915) wyczarowywał krajobrazy lasów i puszcz litewskich, lubelskich, mazowieckich, poznańskich. Umiał odkryć piękno ziemi i przekazać je w słowie barwnym i żywym. Zmarł w Warszawie w roku 1932.

Ważniejsze utwory Weyssenhoffa:

Zaręczyny Jana Bełzkiego, Warszawa 1894,
Za błękitami, Warszawa 1894,
Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego, wyd. I Warszawa 1898, wyd. VII Warszawa, „Czytelnik" 1951,
Sprawa Dołęgi, 1901,
Syn Marnotrawny, 1904,
Dni polityczne, 1905,
Unia, 1910,
Soból i panna, 1911,
Puszcza, 1915,
Mój Pamiętnik Literacki, Poznań 1925,
Wyd. zbiorowe: „Pisma", wydawnictwo redakcji „Tygodnika Ilustrowanego„ — od roku 1927.
„Dzieła zebrane" w wyd. Pol. R. Wegnera w Poznaniu — od roku 1932.

Ważniejsze prace o Weyssenhoffie:

Piszczkowski Mieczysław: Józef Weyssenhoff poeta przyrody, Lwów 1930,
Feldman Wilhelm: Współczesna literatura polska, Kraków 1930,
Piszczkowski Mieczysław: Józef Weyssenhoff wobec malarstwa, Warszawa 1933,
Grzymała-Siedlecki Adam: Nasz baron, Twórczość 1959, Nr 10,
Zawadzki Z.: Jaśnie pan autor, Lubartów i Ziemia Lubartowska, lipiec 1959.

LDK informuje

Autobusowe dumania

STANISŁAW WEREMCZUK

WŁODAWA

Aktualnym wydarzeniem dla Włodawy jest „Znajda" Niewiarowicza, wystawiona przez zespół teatralny PDK w reżyserii Adama Urbańskiego. Zespół staje się chlubą miasta i tylko o nim się mówi. Niech mi nie będzie poczytane za „obrazoborstwo", że jednak wrócę do spraw, które działy się w przeddzień „Znajdy".

Chodzi mi o „Wesele Różaniecke". Więc po Wojciechowie, Babinie, mamy Różankę. Znowu bohaterem sprawy jest cała społeczność wsi, a więc od młodych — po dziadków. Wprawdzie inspirator i duchowy przywódca — PDK, jego kierownik i instruktorzy (niech im będzie to policzone!) wywodzą się ze stołecznej Włodawy.

Duch Różanki oczarował wszystkich. A więc znowu tradycyjny obrzęd weselny, piosenki, przyśpiewki i jędrny humor ludowy. Znalazły się autentyczne sukmany wyciągnięte ze starych skrzyń, korale, gorsety, zapaski. Niby wesele, tak jak w Wojciechowie, Babinie, a jakże inne!

Bywalcy wiejskich wesel dobrze wiedzą, że nie sposób spotkać dwu podobnych. Nie chodzi nawet o to, że to był folklor podlaski. Inne było oblicze, a właśnie niepowtarzalne. Wprawdzie chyba niesłusznie całość oparto zbyt mocno na przyśpiewkach i często mało zręcznych dialogach kosztem bogatego przecież na Podlasiu obrzędu. Nie przeszkodziło to jednak szczelnie wypełnionej widowni (duża sala kina) żywo reagować, a niektóre sceny witać po prostu burzą oklasków.

A więc jakże jest z tym folklorem? Okazuje się, że nie jest on muzealnym zasuszonym kwiatkiem, jak wielu twierdzi, ale jeszcze przemawia i to silnie.

I nawet nie trzeba „Mazowsza" czy „Śląska" — wystarczy z grubsza ociosany autentyk!

Scenariusz tworzony, a raczej odtwarzany jest zbiorowo z tego, co pamięć starszych zachowała i z tego, co jeszcze żyje dzisiaj w wiejskim obrzędzie weselnym. I tu jest chyba siła folkloru, zaczerpnięta z jego związku z życiem, tradycją, dawnością, zdolnością trafiania w najistotniejsze. W „weselu" zbędna jest charakteryzacja i wszelka umowność scenerii. Otwiera się po prostu jedna ściana domu weselnego, pozwalając widzowi wglądnąć i jednocześnie uczestniczyć w uroczystości. Przy tym nie ma tu nic z naturalizmu. Pomijam tu całą społeczną stronę zagadnienia. Różanka z Włodawą raz jeszcze pokazała źródło żywe. Bo folklor zawsze szedł pod rękę z czasem.

Urok zbiorowego widowiska!

Może to początek tradycji. Wiem, że PDK planuje z którąś z pobliskich wsi na wiosnę inscenizację „Starej baśni" w plenerze. To chyba znowu zjednoczy społeczność wsi nie tylko do spotkania ze sztuką i urokiem poezji, ale i do wielu spraw społecznych i gospodarczych.

A więc Millenium!

LUBARTÓW

Godność — ranga — tradycja!

Lubartów udowodnił te słowa pracami Towarzystwa Ziemi Lubartowskiej. Chwytaliśmy skwapliwie jednodniówki „Ziemia Lubartowska". Jak to w Lubartowie? A jednak. Miasteczko ręką ogarniesz — a tyle ducha w narodzie!

Okazuje się, że co rok — prorok. Narodził się onegdaj chór mieszany im. Józefa Rafalskiego. Patron chóru Józef Rafalski był działaczem na niwie muzycznej oraz zbieraczem folkloru powiatu lubartowskiego. Chlubna tradycja. Ostatnio chór obchodził uroczystym koncertem (pierwszy tego rodzaju w Lubartowie i w dodatku własny!) rocznicę swego powstania. Chór godnie reprezentował swego patrona dając koncert na dobrym poziomie. A na zakończenie niespodzianka. Lubartów pokazał zupełnie ciekawy zespół taneczny. Wodzowie zespołów straszą, że z dwóch stworzą (a właściwie już stworzyli) duży zespół pieśni i tańca. I to wszystko przy Prezydium PRN w sali posiedzeń bez zaplecza.

Walnie pomaga tym pracom Inspektorat Oświaty i Biblioteka Powiatowa. Zaczyna się dziać zupełnie ciekawie i praca będzie rosła jak na świeżutkich drożdżach. Widać to po środowisku ambitnym i prężnym.

Ale.. I tu właśnie szansa. Lubartów jest znowu „przy nadziei". Tym razem ma to być Powiatowy Dom Kultury, prawdopodobnie tego lata. Prezydium PRN ma się wyprowadzić z gmachu budowanego kiedyś na Dom Ludowy do odnowionego obecnie pałacu po szanownej familii Firlejów, budynek dotąd używany oddać na dom kultury. Oby cały! Byłaby to duża szansa stworzenia warunków pracy naprawdę ciekawemu ośrodkowi kulturalnemu, który by promieniował na cały powiat. Wieść gminna niesie, że mają tam być wprowadzone niektóre urzędy. Aż strach mnie ogarnia. Znam inne PDK, które się przed tym nie ustrzegły i duszą się we własnym sosie z braku miejsca na szerszą działalność.

Tak piękny gmach mógłby stać się centralnym przybytkiem kultury w Lubartowie. Tam mogłaby być Powiatowa Biblioteka, Towarzystwo Regionalne, ośrodek techniki nowoczesnej, zespoły artystyczne, a z urzędów chyba jedynie referat kultury — mecenas z ramienia Państwa. I jeszcze jedna sprawa. Gmach ten budowany był za społeczne pieniądze właśnie na ośrodek kultury. Okazuje się, że lubartowianie dobrze o tym pamiętają. Dzisiaj, kiedy tak bardzo nam zależy na inicjatywie społecznej — musimy jej owoce wysoko cenić i użytkować ze społeczną wolą.

Chyba ojcowie miasta ze zwykłą sobie rozwagą i odpowiedzialnością docenią wagę tych problemów. Aż się autobus raźniej potoczył z lubartowsko-lubelskich górek.

Tfu! Na psa urok!

KRONIKA KULTURALNA

„BALLADYNA" DLA ZESPOŁÓW AMATORSKICH. Dużo kłopotu mają zespoły amatorskie z dostosowaniem romantycznego repertuaru do skromnych możliwości swojej sceny. Z tego powodu ten świetny repertuar raczej rzadko jest przez amatorów wykorzystywany, chociaż może liczyć na dobre przyjęcie odbiorcy. Właśnie „Balladyna" budzi tu szczególne zainteresowanie. Dobrze się więc stało, że Centralna Poradnia Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Warszawie wydała ten dramat w opracowaniu dla amatorów. Dokonano bardzo udanych skreśleń sprowadzających obszerny tekst „Balladyny" do rozmiarów możliwych do przyjęcia na scenie (widowisko powinno trwać około trzech godzin). Przez skróty wydobywa się konsekwentnie drogę Balladyny do objęcia władzy. Do tekstu dołączono uwagi inscenizacyjne i scenograficzne. Szczegółowe omówienie proponowanej inscenizacji i projekty dekoracji oraz kostumów powinny wydatnie dopomóc amatorom w wystawieniu „Balladyny". Zwłaszcza należy zwrócić uwagę na dużą pomysłowość i oszczędność projektów scenografii, które w zasadzie przy pewnej modyfikacji można przystosować prawie do każdej sceny. Pozycją tą powinny zainteresować się głównie teatry szkół średnich oraz bardziej zaawansowane teatry amatorskie *).

*) Juliusz Słowacki „Balladyna", CPARA. Warszawa 1959, s. 61+48 opracowań. Opracowanie dramatyczne — Krystyna Berwińska, Wanda Wróblewska, opracowanie scenograficzne — Liliana Jankowska, Antoni Tośta. Cena 30 zł.

Z. J.

CZECHOW

w setną rocznicę urodzin

FELIKS ARASZKIEWICZ

Antoni Czechow, wnuk pańszczyźnianego chłopa, syn drobnego sklepikarza z Taganrogu, lekarz ze społecznego zamiłowania, pisarz z prawdziwego zdarzenia, żyje i działa w czasach czarnej reakcji w Rosji Aleksandra III i Mikołaja II. Ideowo wywodzi się z demokratycznego ruchu Hercena i Czernyszewskiego, podlega początkowo wpływom filozoficznym Tołstoja, potem zbliża się do radykalnej inteligencji, przygotowującej razem z proletariatem rewolucję 1905 roku, w przededniu której umiera powalony gruźlicą.

W okresie szkolnym obraca się w świecie książek Bielińskiego, Dobrolubowa, Pisariewa, Turgieniewa, Gonczarowa, Tołstoja i Cerwantesa, entuzjazmuje się sztuką dramatyczną Gribojedowa, Gogola, Ostrowskiego i Szekspira. Bezpośredni rodowód literacki wywodzi z prozy realistycznej Gogola, z satyrycznej twórczości Sałtykowa-Szczedrina, a w epickim oddechu — z Turgieniewa i Tołstoja. Pasjonuje go nowelistyka Maupassanta i Daudeta. Historycznie stoi na granicy między Tołstojem a Gorkim.

Czytelnik polski żałuje, iż Czechow nie znał Prusa i Żeromskiego, swoich współczesnych, których tak mocno przypomina charakterem twórczości mimo zdecydowanie odmiennych warunków bytowania obydwu narodów. Czechow, działacz i pisarz, szukał dróg wyzwolenia społecznego ludu, Prus i Żeromski, prócz tego celu, musieli mieć na widoku ideę wyzwolenia narodowego.

Inteligencja polska końca XIX i XX wieku znała twórczość Czechowa i zachwycała się nią. Dla naszych pisarzy należał on do najbardziej swojskich — mimo obcości rosyjskiej, jako równoznacznej wtedy z jarzmem caratu.

Dzisiaj, gdy Czechow stał się pisarzem ogólnoświatowym, gdy rok bieżący Światowa Rada Pokoju i Międzynarodowe Unesco ogłosiły jego rokiem, dawny Czechow stał się pisarzem nowoczesnym, bliskim każdemu humaniście i humanitaryście.

Odradza się on na nowo i w Polsce, jako jeden z najszlachetniejszych reprezentantów myśli demokratycznej oraz sztuki słowa pokolenia przedrewolucyjnych „buriewiestników", zwiastunów burzy, która przeobrazi świat tak, aby „ci, co będą żyli w sto, w dwieście lat po nas i którym my teraz oczyszczamy drogę — dobrze nas wspominali".

Słowa te wypowiada Czechow ustami doktora Astrowa w utworze dramatycznym „Wujaszek Wania" w 1897 r. Przypominają one do złudzenia wyznanie Żeromskiego w „Dziennikach" pod datą 29.IV.1889 r. w zdaniu nabrzmiałym treścią myśli i uczuć: „Miłuję cię, wielki ludu prostaczy, schylam ci się do stóp z błaganiem, byś zrozumiał takich jak ja, i byś kiedyś, gdy nas nie stanie, dobrze nas wspominał". Powinowactwo z epoki między radykalnym pokoleniem inteligencji rosyjskiej i polskiej tego czasu wywołuje pisarstwo budzicielskie, rozdrapujące rany społeczne, aby nie pozwoliły zasypiać w spokoju.

Czechow, budziciel sumień, tak przemawia w opowiadaniu „Agrest" w 1898 r.: „Widzimy tych, którzy chodzą na rynek po produkty, w dzień jedzą, w nocy śpią, którzy mówią o głupstwach, żenią się, starzeją, spokojnie wynoszą na cmentarz swoich nieboszczyków, ale nie widzimy i nie słyszymy tych, którzy cierpią, i wszystkiego, co jest straszne w życiu, a co

się odbywa gdzieś za kulisami. Wszystko odbywa się cicho, spokojnie, a protestuje tylko statystyka: tylu a tylu zwariowało, wypito tyle a tyle wiader wódki, tyle a tyle dzieci zginęło z braku odżywiania. Widocznie człowiek szczęśliwy czuje się dobrze tylko dlatego, że nieszczęśliwi milcząc znoszą swoje cierpienia — a bez tego milczenia szczęście twoje byłoby niemożliwe — nie zastygajcie w spokoju, nie dawajcie się usypiać". Zdania te żywo przypominają budzicielską postawę doktora Judyma, w tym samym czasie manifestowaną przez Żeromskiego w „Ludziach bezdomnych".

Czechow ostro krytykuje drobnomieszczańską inteligencję rosyjską w komediodramacie „Wiśniowy sad" w 1903 r., nakazuje studentowi Profimowowi taką oto wzgardliową i bolesną pod jej adresem inwektywę: olbrzymia większość tej inteligencji nie szuka niczego, nic nie robi i do pracy na razie nie nadaje się. Nazywają siebie inteligencją, a do służby mówią per „ty", chłopów traktują jak zwierzęta, uczą się źle, nie czytają nic poważnego, absolutnie nic nie robią, o nauce ciągle tylko gadają, a w sztuce orientują się słabo. Wszyscy oni filozofują, a tymczasem na oczach wszystkich robotnicy jedzą obrzydliwości, śpią bez poduszek, po trzydziestu, czterdziestu w izbie, wszędzie pluskwy, smród, wilgoć, brud moralny... Żyjecie na kredyt, na koszt tych ludzi, których nie wpuszczacie dalej niż do przedpokoju, jesteście zacofani przynajmniej o 200 lat... narzekamy na smutek albo pijemy wódkę... możemy przeszłość okupić tylko cierpieniem, nieprzerwanym trudem"...

Nasuwa się tu znowu zestawienie z Żeromskim, z tragedią Obrzydłówka, z krzywdą nauczycielki Siłaczki. Szeroki obraz prostracji prowincjonalnej w opowiadaniu Czechowa „Moje życie" (1896) — to analogia do „Promienia", do „Doktora Piotra", do „Ludzi bezdomnych" wreszcie.

Natężenie tych samych burzycielskich idei występuje również w sztuce „Mewa", w której Czechow rzuca hasło „Żyć — to znaczy pracować twórczo, według twórczych celów umiłowanej pracy. Kto nie żyje rzeczywistym życiem — żyje mirażami" (1897). Hasłami tymi Czechow przygważdża nihilizm, bezduszność i małość, tołstojowską ideę niesprzeciwiania się złu, zagradza drogę „griaduszczawo chama", przed którym drżał konwulsyjnie Dostojewski.

Wielkie dzieło przebudowy życia ludzkiego widział Czechow nie tylko w oczekiwaniu burzy rewolucyjnej, ale także i przede wszystkim w odnowie etycznej każdego człowieka, który musi być odpowiedzialny historycznie i moralnie za byt społeczny współczesnych. To dramatyczne zmaganie się odbywa się w sferze codziennych, pozornie drobnych stosunków ludzkich, które wymagają poczucia społecznej odpowiedzialności. Dlatego Czechow poświęca cały swój talent pisarski właśnie tym sprawom niby — błahym, małym i często niewidocznym, ukrytym za barierami „wysokoparnych" wzniosłych haseł i dążeń. W gęstwinie spraw nabrzmiałych cierpieniem i wyzyskiem, materialnym i moralnym, kłębią się niezliczone namiętności złe, ale także i siła, która musi wybuchnąć burzą. „Gotuje się zdrowa, silna burza... chciałbym doczekać, wziąć osobisty udział" — mówi do przyjaciół Czechow w przededniu śmierci.

Sięganiem do tematyki spraw drobnych, codziennych, zwykłych, jako do materiału twórczego, przypomina Czechow naszego Prusa. Od mikrokosmosu spraw ludzkich zmierzają oni do uogólnień makrokosmosu układu społecznego i etyczno-filozoficznego. Dlatego obydwaj są odkrywcami dusz ludzkich i wynalazcami niedostrzeganych dotąd grup upośledzenia społecznego. Pełno tu analogii tematycznych między obu pisarzami, w krótkich nowelach, opowiadaniach, humoreskach. Wystarczy wspomnieć chociażby opowieść Czechowa o sierocie „Wańce" i o Jasiu Prusa z „Sierocej doli".

U obydwu pisarzy panuje postawa realistyczna, rzeczowa, odkrywcza, bez glansowanych rękawiczek. Znowu nasuwa się zestawienie: brutalny świat „Chłopów" i „W parowie" Czechowa i twarde, ciemne życie Ślimaka w „Placówce" Prusa. Utwory te, jak wiadomo, były rewelacją w porównaniu do sentymentalno-sielankowych obrazków dawniejszej literatury na ten temat.

Sam fakt głęboko humanistycznej postawy wobec człowieka i problemów etyczno-społecznych, jaką reprezentował Czechow, nie zdecydowałby o jego sławie i znaczeniu w świecie aż do dni dzisiejszych. Uczyniła to jego sztuka pisarska, oparta na tych ideałach, i wypływająca z wysokich założeń etyka pisarska. Za etykę pisarską cenił go Tołstoj i darzył przyjaźnią graniczącą z podziwem — młody Gorki, a za nimi wrażliwa na krzywdę ludzką i piękno twórcze publiczność czytająca.

Czechow dobierał się do duszy czytelników obrazowaniem nawet brutalnej prawdy życiowej w sposób bezpośredni, prosty, za pomocą tej samej właściwości, jaką posiadał Prus, to znaczy za pomocą wielkiego humoru, który pozwala widzieć ludzi i zjawiska ze wszystkich stron w całej ich złożoności tragicznej, komicznej, groteskowej, codziennej a niezwykłej, wyjątkowej a zwykłej, wywołującej śmiech i ból, zgrozę i obrzydzenie, radość i wesele.

Wielki humor Czechowa zniewala czytelnika, urzeka go i wciąga w orbitę jego ideałów, a stosowana często postawa ironiczno-satyryczna unaocznia prawdę obmierzłej pospolitości.

Humor Czechowa przesiąka wszystkie jego utwory, nawet powieści o zakroju epopeicznym, jak „Step", jeden z najpiękniejszych utworów prozy artystycznej i nie tylko rosyjskiej.

Z zadziwiającą maestrią łączy się u Czechowa styl humorystyczny z napięciem dramatycznym, komediowym i tragicznym, a czasem z farsowym i wodewilowym otokiem. Ten stop stylu humorystyczno-dramatycznego ujawnia się w setkach drobnych miniatur,

(Dokończenie na str. 6)

LISTY MUZYCZNE (III)

ZBIGNIEW WIELICKI

Szanowna Pani!

Kiedy zmądrzejemy w Lublinie? Warszawa, goszcząc orkiestry Filharmonii Łódzkiej i Pomorskiej, a ostatnio Filharmonii Śląskiej, ze zdziwieniem odkryła, że poza jej kręgiem też umieją grać. Przyjdzie dzień, bo przyjść musi, że odkryje i Lublin. Ale Wojewódzka Rada Narodowa w Katowicach nie czekała na Warszawę i nadała swojej Filharmonii wysokie odznaczenie. Niech się wstydzi ten w Lublinie, który to co trzeba trzyma w biurku. Prezydent Austrii witał na lotnisku powracających z tournée zagranicznych wiedeńskich filharmonistów. Tak, zza biurka to można dostrzec brygady modzieżowe sprzedające jajka metodą Stinkingegga w Lublinie na ulicy „Szopena".

Pani chce wiedzieć, czy nie mam innych zmartwień, więc, owszem, mam. Byliśmy przecież na tym koncercie „stereofonicznym" w Międzynarodowym Klubie Prasy i Książki w Lublinie. Słuchaliśmy dwóch wcześniejszych sonat Beethovena granych przez Giesekinga. Słuchaliśmy koncertu fortepianowego G. Ravela w wykonaniu Benedettiego, podziwialiśmy sposób nagrania i odtworzenia zapisu dźwiękowego. Ale, wie Pani, najciekawsi byli słuchacze. Inne twarze, nie te z naszej Filharmonii. Dlaczego? Dlaczego nie widzimy ich w Filharmonii? Czy działa na nich tylko atmosfera nowości technicznej, czy może kocie przywiązanie do miejsca? Przecież słuchali dość nabożnie... A pewien słuchacz domagał się w następnych koncertach symfonii Beethovena, bo — jak mówił — w muzyce szuka się piękna. Tak mówił. A co myślał? Że Ravel do niego nie przemawia, więc Ravel się nie liczy? Ale cóż to jest to piękno w sztuce, albo zwłaszcza w muzyce, i czy zawsze i wszędzie było ono i jest (i będzie...) identyczne? W latach trzydziestych byłem na skandalu we Florencji. Młody kompozytor i niezbyt jeszcze wtedy znany dyrygent, Igor Markiewicz, w dwa tygodnie po prawykonaniu w Warszawie prowadził sam swój „Nowy Wiek". Podzieliliśmy się na dwie grupy, obojętnych nie było: jedna biła brawo (mnie spuchły dłonie), a druga — gwizdała. Ilu z nas słyszało dzieło, które było dla Markiewicza wzorem, którego nie chciał słuchać Paryż w 1913? A nasz zachwyt czy oburzenie nie mogły się równać ze wstrząsem, którego doznała publiczność paryska trafiona muzyczną bombą atomową. Grano Igora Strawińskiego „Le Sacre du Printemps". Po premierze mówiono „Le Massacre du Printemps". Większość okrzyczała twórcę barbarzyńcą i mącicielem. Niewielu — rewolucjonistą i geniuszem. Stosunek do „Święta Wiosny" stał się kamieniem probierczym nowoczesności. Ta muzyka obalała nawyki i muzyków, i słuchaczy, podważała ich estetyczne pozycje wywodzące się z romantyzmu, ale i z impresjonizmu. Nic nie zostało z harmonii, kontrapunktu, gramatyki i składni klasycznej. Pojawiły się perkusyjne smyczki i śpiewająca blacha. Odkryto formułę „anti-charme". Ale przede wszystkim nie mogli pogodzić się świadkowie prapremiery „Święta Wiosny" z nową rytmiką, ze zmianami (okresami bez mała w każdym takcie) rytmu np. z 5/4 na 7/4, na 6/4, na 5/4, z polyrytmią w orkiestrze grającej na zmianę w rytmie 2/4 i 5/8 na 3/8. Tego ich uszy znieść nie mogły, bo nie nawykły jeszcze do tej świeżo ujawnionej, a tak żywotnej w muzyce, siły.

Nie wystarcza zgwałcić Euterpe, trzeba umieć, — powiedział Strawiński, — zrobić jej dziecko. I zrobił. I tak, że krytycy z lat przedwojennych nie mogli sobie z ojcem poradzić. Był dla nich romantykiem(!) i anty, impresjonistą (!), ekspresjonistą, atonalistą i politonalistą. Uosabiał, ich zdaniem, barbarzyński prymitywizm, i nihilistyczne snobistyczne tendencje. Był dla nich elementarny, pierwotny, jałowy. Był zimnym konstruktywistą, hypermodernistą, ale i widzieli w nim archaizującego eklektycznego klasycystę. Sam zaś Strawiński uważał, że fałszem jest traktowanie go jako rewolucjonisty. Wiem, że jest on dla Pani Picassem muzyki. Ale myli się Pani. To Pablo jest Strawińskim malarstwa. Obaj w Polsce byli. Ale „Święto Wiosny" doczekało się polskiej premiery dopiero w 1956 roku i to w wykonaniu całkowicie francuskim, a potem dopiero i tylko jeden raz grane było przez orkiestrę Filharmonii Śląskiej pod dyr. Karola Stryji.

„Petruszkę" Strawińskiego, burleskę sceniczną w czterech obrazach, wykonano w Paryżu dwa lata przed „Świętem Wiosny". I to dzieło, choć jeszcze nie w tym stopniu, przesycone było podniecającą, brutalną rytmiką, jaskrawą instrumentacją elementarną i sprzeczną w nastrojach tematyką opartą na rosyjskim folklorze jarmarczno-bulwarowym. Realizm pomieszany z parodią i fantastyką. Dnia 15 stycznia 1960 r. po raz pierwszy wykonano w Lublinie „Petruszkę" pod dyrekcją Mariana Lewandowskiego. Reakcja publiczności była raczej daleka od entuzjazmu. Ale i na skandal nas nie stać. Ani na wyrazy żywszego uznania choćby dla ciężkiego trudu wykonawczego orkiestry i dyrygenta. To nie zachęca. Tego dnia i tym dziełem wkroczyła Filharmonia Lubelska w 1960 r. I wkroczyła pięknie. Przecież nie co rok muszą być grane wszystkie słynne „Piąte". Nie znaczy to, że tylko Strawiński. W pierwszej części tego samego koncertu i również jako pierwsze u nas wykonanie — Lewandowski prowadził Brahmsa Raspodię na alt, chór męski i orkiestrę. Więc jeśli w Warszawie był to jeden z najciekawszych koncertów, kiedy pod dyrekcją Wodiczki wykonano tę samą Rapsodię i „Symfonię Psalmów" Strawińskiego, to i u nas nie mogło być inaczej. Ciekawe, mówi Pani, zestawienie:

(Dokończenie na str. 6)

MAURYCY SZYMEL

Wiersz moralizatorski

Nie bijcie koni. Nie męczcie stołów nadmiernym ciężarem.
Całujcie chodnik, mury i psa.
Nie parzcie słońca oczami. Nałóżcie okulary.
Pomyślcie, jak samotną bezbronną jest łza.

Pisząc, nie kłujcie papieru. Baczcie, by szyja nie uciskała kołnierza.
Uwolnijcie od waru bulgocącą wodę.
Czemuż wam nie żal
Pająka. Taki jeszcze młody.

Nie zabijajcie ptaków ani ludzi.
Nie kupujcie kwiatów miedzianowłosej tancerce.
Nie przeciągajcie strun na mandoli —
Po co wbijać sztylet we własne serce!
To przecież — boli!

(„Wieczór liryczny")

Maurycy Szymel — całkowicie zapomniany poeta żydowski, który pisał w języku polskim, autor pełnych liryzmu zbiorków: „Powrót do domu" (1931), „Skrzypce przedmieścia" (1935) i „Wieczór liryczny" (1935). Stefan Napierski w „Wiadomościach Literackich" pisał o nim: „...poeta o wyraźnym żydowskim poczuciu narodowym, wyrażający nie tylko tragizm rasy, ale także diaspory". Po wojnie Szymel nie dał znaku życia o sobie, widocznie zginął jako ofiara hitleryzmu. Warto, by któreś z naszych wydawnictw przypomniało tego poetę wyborem najcelniejszych jego wierszy.

Jeden z tych co przeżyli

ALINA TOMASZEWSKA

Zwykły człowiek, Leon Garen. Pochodzi z Kraśnika. Tam przetrwał całą okupację, całą gehennę niewolnego życia...

W Kraśniku nie było getta w warszawskim tego słowa znaczeniu. Tam sytuacja wyglądała nieco inaczej.

W pierwszych latach okupacji kraśnickie środowisko żydowskie poważnie zwiększyło swą liczebność. Zjechali tu ludzie, którzy może nigdy przedtem nie słyszeli nawet nazwy tego niewielkiego i mało wówczas znaczącego miasteczka na Lubelszczyźnie. Przybywali zewsząd, z tych krajów, z tych miast, gdzie pojawiła się już swastyka. Byli to przeważnie ludzie bogaci, o wysokiej kulturze i rozległych stosunkach w świecie: przemysłowcy, kupcy, artyści. Mieli pieniądze, które przecież szerokim strumieniem mogły wpłynąć w nienasycone gardło III Rzeszy. Tym ludziom pozwolono więc, chwilowo jeszcze, żyć. Oczywiście nie w Wiedniu, nie w Pradze ani w Bukareszcie. Złoto złożone w danine za życie utorowało im drogę do biednego podlubelskiego miasteczka. Pobratymcy przyjęli ich do swoich, i tak już ciasnych, mieszkań, przeważnie pozbawionych najprymitywniejszych wygód.

Pierwszy cios wymierzono w kraśnickie skupisko żydowskie 18 kwietnia 1942 r. Mało kto spał tej nocy. Ranek niedzielny zastał ludzi przerażonych, niepewnych dnia ani godziny, stłoczonych na rynku pod strażą SS-manów, pijanych poczuciem nieograniczonej władzy i zdziczałych od bezkarnych zbrodni. Po długich godzinach ogłoszono wreszcie oficjalny komunikat: akcja ma na celu wysiedlenie do Bełżca wszystkich „niepracujących", a zatem w Kraśniku „niepotrzebnych" Żydów. „Trudności mieszkaniowe, trudności z zaopatrzeniem miasteczka w żywność"... Nikt w to nie wierzył. Już wtedy wiedziano, że Bełżec oznacza koniec.

Leon Garen należał wówczas również do owej grupy „niepracujących". Ale był młody, silny. Chciał żyć. Udało mu się przedrzeć poza kordon, z wyglądu zewnętrznego raczej nie przypominał Żyda. Opaskę zdarł z rękawa i schował do kieszeni. Uciekł.

A właśnie ludzie wychodzili z kościoła. Poszedł razem z nimi. Co jednak miał robić ze sobą? Nie posiadał aryjskich papierów. Ukrywać się? Jak? Gdzie?

Były to dopiero początki masowej zagłady Żydów w Kraśniku. I mimo że wszyscy właściwie od dawna jej się spodziewali, przyszła jak zaskoczenie powodując dezorganizację, zamieszanie, lament...

Droga zaprowadziła Garena pod mur żydowskiego cmentarza. Nie namyślał się ani chwili. Dnia tego i długiej nocy, jaka po nim nastąpiła, kamienie nagrobne noszące imiona ojców, dziadów i pradziadów użyczyły w swoim cieniu schronienia żyjącemu jeszcze wnukowi...

Ranek poniedziałkowy był już w mieście „spokojny" — nie spotykało się na ulicach kordonów SS-manów. Mieszkania żydowskie ziały pustką po wywiezionych. Tylko w „aryjskich" domach panowało wzburzenie. Żyli przecież obok siebie od lat...

Leon Garen nie znalazł w domu ojca. Wraz z dwutysięczną grupą krewnych, sąsiadów, znajomych powędrował on do Bełżca na spotkanie śmierci.

Młody Garen był z wykształcenia księgowym. Jednakże w sytuacji, jaka się wytworzyła po pierwszej „akcji", zrozumiał jasno, że ten zawód nie ochroni go przed śmiercią. Niemcy potrzebowali rzemieślników. Został więc pomocnikiem tapicera.

Ostateczna likwidacja środowiska żydowskiego w Kraśniku nastąpiła jesienią 1942 r.

W tym samym mniej więcej czasie Kreishauptmann Lenck przeniósł starostwo z Janowa Lubelskiego do Kraśnika. Potrzebni mu byli główne stolarze i tapicerzy przy meblowaniu nowego urzędu. Wybrał ich sobie spośród Żydów kraśnickich tuż przed ostateczną likwidacją. W grupie ocalałych znalazł się Garen. Drutami kolczastymi otoczono bóżnicę, synagogę i kilka domów. Otworzono w nich warsztat stolarski, tapicerski, ślusarski, szewski, złotniczy, radiotechniczny itd. Obóz stał się osobistą własnością mieszkającego wówczas w Lublinie Gruppenführera SS und Politzei Globocnika. W warsztatach wykonywano głównie prace dla SS, ale... ale z czasem tych zamówień stało się mniej, a pan na 300 niewolnikach nie miał zamiaru poprzestać na zmniejszonych dochodach. Wobec takiej sytuacji wydał zezwolenie na przyjmowanie robót od prywatnych ludzi, a nawet od Polaków. Był to krok jakże brzmienny dla więźniów w skutki.

Tymczasem w obozie kraśnickim życie płynęło jak w „normalnym" niemieckim „konclagrze". Głód i strach, śmierć i praca nad siły — towarzysze codzienni, przyprawiający o rozpacz i rezygnację.

Powoli jednak w ludziach-niewolnikach począł się rodzić bunt. Radiotechnik Würman w swoim legowisku, na najwyższym piętrze pryczy, zainstalował mikroskopijny detektor. Do obozu zaczęły napływać pierwsze wieści ze świata. Wkrótce potem na drodze więźniów stanął Kasjan, tworząc osobny, nieco jaśniejszy rozdział ich życia.

Kasjan pochodził z Noworosyjska. W zamęcie pierwszych dni wojny radziecko-niemieckiej dostał się do niewoli. Nie miał zamiaru ginąć z głodu za drutami. Został członkiem... SS — Galizien. Przydzielono go do załogi kraśnickiego obozu. W bardzo krótkim czasie nawiązał kontakt z więźniami. Odtąd weszło w zwyczaj np. słuchanie radia w warsztacie, podczas gdy on miał służbę i wartował, by nie nadszedł nikt niepowołany. Kasjan ułatwiał kontakty z ludźmi z zewnątrz, a nawet z partyzantką AL.

Czy przeżyłby ktoś kraśnicki obóz bez pomocy żywnościowej z zewnątrz? Radzono sobie różnie. Np. spieniężano swoje własne rzeczy oddane na przechowanie zaprzyjaźnionym Polakom i zdobywano w ten sposób żywność. Garen miał również takich przyjaciół poza drutami: rodzinę Łopuskich. Wiele pomocy zawdzięcza on i inni zwłaszcza pani Serafinowej, która dostawała się do obozu oficjalnie w sprawie niby to wykonania przez warsztaty różnych zamówień.

Życie w obozie dalekie było od idylli. Ludzie marli z wycieńczenia, z chorób, z pragnienia wolności.

Wpływ Kasjana na „kolegów" z SS-Galizien był tak dalece „demoralizujący", że pewnego dnia 17 Żydów znalazło się na upragnionej wolności. Ich ucieczkę przypłaciło życiem 30 współwięźniów.

Oddzieleni drutami pracowali obok siebie Żydzi i umierający z głodu jeńcy radzieccy. Młodzi chłopcy żydowscy, sądząc, że nikt tego nie widzi, przerzucali jeńcom przez druty kawałki chleba. Za ten ludzki odruch współczucia rozstrzelano trzynastu chłopców w wieku od lat 18 do 20.

Dziwne się to może wydać, ale więźniowie z konclagru w Kraśniku pomagali partyzantom. Zwłaszcza tym, którzy stacjonowali w Rzeczycy. A było to tak: w listopadzie roku 1943, kiedy to zlikwidowano niemal wszystkie obozy dla Żydów na Lubelszczyźnie, do kraśnickiego, w celach zmagazynowania, zwieziono odzież zabitych i duże ilości leków. Otóż część tych ubrań, a także „zorganizowane" lekarstwa, w sposób dość skomplikowany przekazano partyzantom.

Zbliżał się 22 lipca 1944 r. Dnia tego, wieczorem, wyprowadzono więźniów ku Wiśle. Ale plany ucieczki były już gotowe: zamierzali wykorzystać pierwszy lepszy zagajnik. W mrokach nocy miejsce wybrano dość niefortunnie. Rzekomy zagajnik okazał się żywopłotem, na domiar złego otoczonym siatką. Rozpoczęła się pogoń, strzela-

→

W 17 ROCZNICĘ — PAMIĘCI

OSTATNIA

NAGŁE zjawienie się „totenkopfów" wśród bezładnie pobudowanych domków na Placu Krawieckim wywołało popłoch. Mimo bardzo wczesnej godziny mieszkańcy ich nie spali. Szara mgła wypełniała uliczki i płaty jej, niby postrzępiona brudna wata, poruszana lekkimi podmuchami wiatru, przypominały upiorne pajęczyny z ilustracji niesamowitych opowieści.

Dzielnica przytulona była do kopca, na którym majaczyły w górze ściany Zamku. Królewski zabytek pamiętający świetne historyczne czasy był teraz ponurą katownią, przez którą przepływały dziesiątki tysięcy ludzi. A mury jej opuszczali tylko nieliczni.

Ludność żydowska zamieszkująca Plac Krawiecki żyła w przerażeniu. Od szeregu tygodni zaczęła się wielka likwidacja getta lubelskiego. Setki pomordowanych wywożono codziennie poza miasto i grzebano w zbiorowych mogiłach lub palono na zaimprowizowanych stosach — tysiące pędzono w nieznane.

Plac Krawiecki, zamieszkiwany przez najuboższą ludność, był dotąd omijany przez ekipy niszczycieli. Ale w sąsiednich dzielnicach terror przybierał nieludzkie formy. To co opowiadano ścinało krew w żyłach.

Działo to się w drugiej połowie marca 1942 roku.

W ubogich, małych izdebkach sine i obrzękłe twarze patrzyły nieruchomo. I jeśli w otępiałych z rozpaczy głowach rodziła się jakaś myśl, to było to: a może, może nas ominą, może uda się jakoś... Przecież my tu sami biedacy, nic nie mamy, nic od nas wziąć nie można, więc...

I odpędzano od siebie przypuszczenia że zagłada obejmie wszystkich, wszystkich bez względu na pozycję społeczną, bez względu na płeć, lata...

— Nie, to niemożliwe — wołały wepchnięte gdzieś głęboko pod czaszkę spojrzenia.

I oto nagle:

Zjawiło się ich paruset. Otoczyli całą dzielnicę. I przyprowadzili dużą sforę psów. W głębi domków nie można było zauważyć żadnego znaku życia. Mimo że ich mieszkańcy nie spali, mimo że czuwali, mimo że wbrew nadziei wiedzieli...

„Trupie główki" szybko otoczyły dzielnicę. Pozajmowali stanowiska tak, aby nikt nie zdołał wymknąć się z domu. Kilkunastu, widocznie starszyzna, zgromadziło się w środku głównej ulicy. Była nią arteria komunikacyjna łącząca część zachodnią miasta ze wschodnią.

Narada trwała krótko, po czym uczestnicy jej szybko pobiegli do swych grup. Na miejscu pozostał tylko wysoki, otyły hitlerowiec o ospowatej twarzy. Popatrzył na zegarek, a potem flegmatycznie wyjął rewolwer, podniósł lufę do góry i strzelił.

Widocznie był to umówiony znak, gdyż wszczął się gorączkowy ruch. Totenkopfy rzuciły się do drzwi domów i zaczęły dobijać się gwałtownie. Zgiełk i ogólny hałas spotęgowało ujadanie psów, które dotąd siedziały cicho a teraz, niby na komendę, zaczęły zajadle szczekać. Wkrótce dziesiątki bram było otwartych i z domków i kamieniczek jęły wysypywać się gromady ludzkie, skłębione i poruszające się w dziki, odruchowy sposób. Dzieci, kobiety, starcy, mężczyźni w sile wieku, kalecy, chorzy, słaniający się i niepodtrzymywani przez nikogo.

Pędzono ich w jedną stronę. Tuż obok dzielnicy była mała łączka, placyk, na którym dawniej zatrzymywały się furmanki. Od ulicy oddzielał go tylko niewielki rów. Tutaj spędzono wszystkich.

Poszczególni szperacze przetrząsali domki. Od czasu do czasu padał strzał. To ginął ktoś, kto myślał, że uda mu się oszukać los i w szafie lub pod łóżkiem znaleźć schronienie.

Do spędzonych przemówił ospowaty kierownik. Mówił tak, jakby tylko chodziło o przegląd.

— O, to nie potrwa długo... — zapewniał — tylko trzeba się podporządkować i słuchać rozkazów. Za godzinę, dwie będzie po wszystkim... A zatem cisza i spokój!

Niektóre głowy podniosły się, niektóre zgarbione plecy wyprostowały. A może... Za dużo ostatnio okropnych bajek opowiadano.

Tłum ogarnęło milczenie. Mgła jęła z wolna podnosić się jak kurtyna na znak rozpoczęcia spektaklu.

Od strony miasta zaczęły nadjeżdżać różnego typu wozy, od eleganckich limuzyn poczynając, a kończąc na powozach. Wysiedli z nich wojskowi i cywilni, kobiety i mężczyźni, dziewczęta i chłopcy. Obok mundurów Wehrmachtu, mundury partyjne, koszulki Hitlerjugend i tyrolskie kurteczki i kapelusiki.

Przybyła grupa liczyła ponad dwieście osób. W rękach trzymali albo na ramionach mieli przewieszone dubeltówki i sztucery.

Największe ożywienie wykazywała młodzież, wśród której najmłodsza dziewczyna i najmłodszy chłopiec nie liczyli więcej jak czternaście lat.

Przybyli rozmawiali z ożywieniem. Byli uśmiechnięci i zadowoleni. Czasem ktoś wybuchał śmiechem. Wtórowali mu inni.

Trwało to niedługo. Rozległ się przeciągły dźwięk trąbki. Wszyscy znieruchomieli. Do stojących podbiegło kilkunastu totenkopfów. Zaczęli pokazywać poszczególne punkty. Tłum rozbił się na małe grupki i ruszył za swymi przewodnikami. Grupki wkroczyły do opuszczonych domków.

Na placu powiało pustką. Ale tylko przez chwilę. Zaczęły się otwierać okna, a w nich ukazały się postacie przybyłych. Usadowili się jakby w oczekiwaniu jakiegoś specjalnego widowiska.

Upłynęło kilkanaście minut i znów padł strzał. Tak jak i na początku. W chwilę potem wszczął się nieludzki tumult. Słychać było wrzaski, przekleństwa, dzikie ujadanie psów i rozpaczliwy krzyk setek ludzi.

Wrzawa zbliżała się i rosła.

Stojący w oknach zaczęli wystawiać głowy. W ślad za nimi wysunęły się ręce, trzymające broń myśliwską. Twarze zdradzały podniecenie.

Właśnie od strony, w którą popędzano tłum, ukazała się biegnąca młoda dziewczyna. Jedna noga była bosa, widocznie nie zdążyła włożyć pantofla, a może biegnąc, atakowana z tyłu przez psa, zgubiła go. Za nią biegło dwóch

WYBUCHU POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM ŻYDÓW BOHATERÓW I MĘCZENNIKÓW

KULA ◆

WACŁAW GRALEWSKI

młodych i jeden stary brodaty Żyd. Za połę rozwianej kapoty chwycił pies, i szarpał, jakby biegnącego usiłował zatrzymać. Za nimi kilka kobiet, potem grupka dzieci, w oczach których strach zapalił ołowiane ognie. Wargi wykrzywione w najwyższym przerażeniu drgały nie wydając dźwięków. A dalej dziesiątki ludzi różnej płci i wieku. Zdawało się, że nie biegną, ale toczą się jakby wielka skłębiona kula, złożona z pstrokatych pomarszczonych plam. Biegnący, widząc przed sobą otwartą przestrzeń i pusty wylot ulicy, instynktownie przyspieszyli. Ktoś wystrzelił z dubeltówki. Zawtórował mu przeraźliwy pisk. Drugi strzał. Trzeci. Czwarty. Kilka jednocześnie. Mała przerwa. Strzały posypały się jak groch po dachu. Strzelcy stojący w oknach najpierw jakby wstydliwie, a potem nerwowo na całego jęli walić ze wszystkich luf. Ten taran ognia zahamował tłum, który na chwilę znieruchomiał, jakby zatrzymały się w nim wszystkie życiowe motory. Ale w następnej sekundzie był już lawiną, rozpryskującą się we wszystkie strony. Kilkanaście postaci znieruchomiało na śniegu, kilkanaście innych drgało i rzęziło. Krzyk reszty przeistoczył się w bulgoczące wycie. Nasilenie „myśliwskiego" ognia rosło. Stało się jednak bardziej uporządkowane i systematyczne. Widocznie pierwsze podniecenie, które dezorganizowało z góry uplanowany porządek, minęło i teraz doszła do głosu bardziej skalkulowana postawa.

Niektóre strzały nabierały regularności. Widocznie strzelcy opanowali przed sobą pole widzenia i strzelają teraz według planu, pewni, że im zwierzyna nie ucieknie i nikt znienacka w wykonaniu zamierzenia nie przeszkodzi.

Ilość biegnących zaczęła się szybko zmniejszać. Jeszcze biegło kilkanaście postaci, jeszcze kilka — już tylko jeden. Przebiegł prawie trzy czwarte Placu, — był blisko wylotu. Pogoniło za nim szereg strzałów. Biegnący zachwiał się, ale wkrótce biegł dalej. Z okna małego domku wysunął się wysoki w partyjnym mundurze hitlerowiec. Wolno złożył się. Lufa sztuceru wysunęła swe żądło. Padł strzał. Biegnący zwalił się tuż prawie obok zbawczego wylotu.

Znów od strony łączki doleciał skowyczący wrzask tłumu, znów wściekłe ujadanie psów, kilka strzałów rewolwerowych i znów na plac wpłynęła gwałtownie druga fala ludzi. Posypały się dziesiątki wystrzałów. Uciekający przeskakiwali leżące trupy, potykali się, przewracali, podnosili, znów biegli i znów padali, tym razem na zawsze. Jeszcze kilka strzałów i wszystko ucichło. Na brudnym, skopanym śniegu potworzyły się wielkie plamy parującej krwi, obok których leżeli w najróżniejszych pozach pomordowani.

Kilkadziesiąt psów obwąchiwało leżących, a niektóre podnosiły łby i poruszały uszami jakby pytały, czy to już koniec.

Zagrała trąbka imitująca widocznie myśliwski róg. Na plac w otoczeniu swych towarzyszy wkroczył ospowaty.

Teraz ze wszystkich domków wybiegali uczestnicy imprezy. Potworzyli głośno gestykulujące i wykrzykujące grupki, które łaziły wśród trupów i palcami wykonywały szybkie ruchy. Liczyły swą zdobycz.

Nad silnie zbudowanym, brodatym Żydem zatrzymało się dwóch „myśliwych": grubas w tyrolskim ubraniu i tyczkowaty typ w szarym mundurze „Sonderdienstu". Zaczęli coś mówić i pokazywać palcami. Wkrótce wymiana zdań przerodziła się w kłótnię. Do kłócących się zbliżył się ospowaty totenkopf.

— Herr Obersturmführer Werner, niech pan rozstrzygnie — to moja sztuka, wyraźny jest ślad mojej kuli.

Zagadnięty spojrzał i powiedział.

— Mimo że widzę ślady dwóch kul „zwierzyna" jeszcze żyje i nawet, jak widzicie, rusza się. Partacka robota. Zaraz was pogodzę.

Wyjął rewolwer, pochylił się nad leżącym i strzelił mu w głowę.

Wyprostował się i krzyknął donośnie.

— To dziś ostatnia kula. Uciszyć się. Wieczorem w Deutsches Haus odbędzie się wieczornica, podczas której ogłoszone będą wyniki dzisiejszego polowania. Kto zostanie królem, ten otrzyma poważną nagrodę pieniężną i honorowy dyplom. A inni od sztuki. Każdy z uczestników poda komisji ilość przez siebie ubitej „zwierzyny". Reklamacje od orzeczenia trzeba składać dobrze umotywowane.

Odwrócił się, popatrzył i zobaczył, że o kilka kroków od niego stoją dwie „trupie główki" z pistoletami w rękach. Podszedł do nich. Wyprężyli się służbiście i pokazali na dwóch leżących, twarzami do ziemi, młodych Żydów. Nie widać było ran ani krwi.

— Oni żyją. Przyczaili się. Skończymy ich!

— Nie! Dziś już padł ostatni strzał.

Na Plac Krawiecki wjechało kilkanaście furmanek. Werner skinął ręką.

— Niech jedna z nich podjedzie. Tych dwóch — wskazał na leżących — rzucić na dno wozu, a na wierzch innych ile się zmieści. Ty — zwrócił się do słomianego blondyna o ceglastej cerze — pojedziesz z nimi. Do dołu niech wrzucą najpierw tych na spodzie. Skoro są zabici, no to są zabici...

— Jawohl, mein führer — stuknął obcasami blondyn i wykrzywił wargi niby uśmiechając się.

Resztę sterroryzowanych do ostatnich granic mieszkańców placu, którzy zostali przy życiu, popędzono do ładowania na wozy trupów.

Niemcy wsiedli do swych limuzyn i konnych powozów i kawalkada ruszyła do śródmieścia. Po kilkunastu minutach ostatni powóz zniknął na zakręcie.

Tuż obok wylotu ulicy leżał trupek małej dziewczynki. Samochody i wozy przejechały po nim, pozostawiając strzęp wgniecony w śnieg i błoto. Koła pojazdów oblepione stygnącą krwią zabarwiły na czerwono-bury kolor koleiny, które niby poskręcane palce wskazywały na tych, co odjechali.

Giacomo Manzù — Matka zabitego partyzanta. Litografia.

nina. Trzystuosobowa kolumna więźniów poszła w rozsypkę. Z tego zaledwie 110 osób powitało w Kraśniku wolność, którą przyniosło wkrótce wojsko radzieckie. Wśród grupy byłych więźniów znajdował się również Kasjan. Aresztowano go natychmiast jako członka SS-Galizien. Ale ci, którym pomagał przeżyć najcięższe ich lata, nie zapomnieli o nim. Kasjana rehabilitowano.

— Mówiono mi potem — wspomina Leon Garen — że Kasjan w wojsku radzieckim otrzymał rangę kapitana. Należało mu się to. My więźniowie zawdzięczaliśmy mu wiele.

*

Dzieje kraśnickiego konclagru są kroplą w morzu męczeństwa i zbrodni. Cóż znaczą dzieje Leona Garena wobec śmierci milionów? Skoro jednak świat przyzwyczaił się do myśli o masowej zagładzie, trzeba rozbijać bezimienne miliony na jednostki i wstrząsać sumieniami narodów wołając o tragicznych przeżyciach Leona Garena, Anny Frank, Dawida Rubinowicza...

Alina Tomaszewska

„Czy biały — czy czarny..."

Nie jestem filosemitą. Ale gdy myślę: Żyd, myślę: Spinoza, Marks, Einstein; myślę: Mendelssohn i Heine; myślę: Wassermann i bracia Zweig; myślę: Natanson i Nusbaum; myślę: Leśmian i Tuwim.

W domu rodzicielskim wzrastałem w atmosferze wrogiej antysemityzmowi, który zresztą w tych czasach przybierał stosunkowo niewinną jeszcze formę — bojkotu żydowskich sklepów. Ojciec leczył biedotę starozakonną i cieszył się wśród niej dużym zaufaniem. W szkole bliskim mi kolegą był Szmulek Guterman, późniejszy oficer polski, który zginął bez wieści w czasie ostatnie wojny. W dzieciństwie rozczytywałem się w „Joskach, Mośkach i Srulach", podobnie jak w trzydzieści lat potem synek mój (wraz ze mną) — w „Królu Maciusiu Pierwszym". Obaj nie przypuszczaliśmy, że ich autor w potwornych okolicznościach, których podówczas wyobrazić by sobie nie mogła najchorobliwsza fantazja, zginie śmiercią bohaterską, aby w Panteonie naszych wielkości zająć miejsce jakiegoś laickiego świętego. W piętnastym roku życia napisałem grafomańską nowelę, której bohaterem była ofiara antysemityzmu. Przedwojenną „Kamenę" tłoczyłem u Bronfelda, który okazywał wiele zrozumienia dla dość niezwykłego pomysłu — wydawania pisma literackiego w prowincjonalnym Chełmie, nabywając nowe czcionki, aby dostosować lichą drukarenkę do wymagań redakcji. Zginął podczas eksterminacji Żydów i już nigdy nie zwrócę mu 20 zł, pozostałych do uregulowania za ostatni przedwojenny nr „Kameny". W Oranienburgu jednym z najbliższych mi współwięźniów okazał się kryptożyd adwokat Goldman, który w hitlerowskim obozie odsłonił mi piękno niemieckich wierszy Heinego. Tam, w konclagrze, widziałem wpiekłowstąpienie Żydów, które w niemniej przerażającej formie objawiło mi się po mym wyzwoleniu w okupowanej Polsce. W rodzinnym moim mieście, w którym przed wojną dwie trzecie ludności stanowili Żydzi, nie ocalał z nich chyba żaden.

Dzisiaj czytam świetne opowiadania Szolema Alejchema i lirykę Maurycego Szymla z uczuciem smutku i rozrzewnienia. Świat, który uderzał mnie — dziecko swoim egzotyzmem, kiedy przyglądałem się znajomym sąsiadom nabożnie klecącym budę na święto szałasów, kiedy z lękiem słuchałem modłów i płaczu w Sądny Dzień dolatujących moich uszu z bożnicy, poezja świeczek, migocących w piątkowe wieczory z okien, za którymi odbywała się tajemnicza wieczerza, — wszystko to zapadło się wraz z ludźmi pod ziemię i śladu już po nich nie pozostało, jak po Aztekach czy Majach — z tym tylko, że konkwistadorzy hitlerowscy prześcignęli stokrotnie — hiszpańskich w obłudzie, kłamstwie i okrucieństwie.

Kończymy szósty dziesiątek XX stulecia. Sporadyczne wyczyny Kuklux-Clanu, niedawne ekcesy w NRF, ostatnia masakra Murzynów w Związku Południowej Afryki, przejawy rasizmu w różnych jego odmianach — oto ohyda, która wciąż jeszcze ludzkość poniża.

Jestem dumny, że należę do narodu, który sto siedemdziesiąt lat temu przez usta Kołłątaja głosił: „Czy biały, czy czarny niewolnik, czy pod przemocą niesprawiedliwego prawa, czy pod łańcuchami jęczy, — człowiek jest i w niczym od nas się nie różni!"

X. Rovay

NA ZIEMI IZRAELSKIEJ

W Izraelu zainaugurowano uroczyście Rok Chopinowski, w związku ze 150-leciem urodzin Chopina. W Tel-Awiwie odbył się pod protektoratem posła PRL p. Antoniego Bidy wielki koncert Orkiestry Filharmonicznej. Program składał się wyłącznie z utworów Chopina. Solistą koncertu był znakomity pianista, Aleksander Brailowski. Dyrygował Georg Singer. Na koncercie byli obecni członkowie Rządu, Parlamentu, korpusu dyplomatycznego oraz wybitni przedstawiciele świata nauki, kultury i sztuki.

Honorowym przewodniczącym Komitetu Roku Chopinowskiego jest p. Golda Meir, minister spraw zagranicznych Izraela.

*

Czołowy przywódca Żydów polskich w okresie międzywojennym, Icchak Grinbaum, b. poseł na Sejm, obchodził ostatnio 80-lecie swych urodzin. Solenizant położył duże zasługi w walce o utworzenie państwa żydowskiego, co podkreślił w oficjalnym liście premier Izraela p. Ben Gurion. Icchak Grinbaum poświęcił się obecnie całkowicie pracy pisarskiej. Jego pamiętniki ukażą się niebawem.

*

Za specjalne zasługi na polu rozwoju literatury współczesnej jest w Izraelu corocznie przyznawana nagroda im. Bialika. Ostatnio nagrody tego imienia przyznane były Eljezerowi Sztajmanowi, Mosze Majzelsowi i Abrahamowi Szłońskiemu, za całokształt ich pracy pisarskiej. Chaim Nachman Bialik, największy poeta hebrajski doby współczesnej, urodził się 9 stycznia 1873 r. w Rosji. W r. 1924 osiedlił się w Palestynie. Zmarł 4 lipca 1934 r.

*

W marcu br. ukazał się hebrajski przekład Don Kichota. Tłumaczył z oryginału Natan Bystrycki. Ilustracje Marcela Janko. Wydało hebrajski przekład Don Kichota wydawnictwo robotnicze „Safriat Hapoalim".

*

Popularny w Izraelu teatr dla dzieci „Tilon-Talil" wystawił obecnie sztukę Janusza Korczaka „Król Maciuś Pierwszy". Sztukę tę opracowało pięć zespołów wymienionego teatru i wystawia jednocześnie w pięciu miejscowościach Izraela.

*

Odnaleziony ostatnio w Polsce i drukowany na łamach „Twórczości" fragment pamiętnika Dawidka Rubinowicza z Bodzentyna znalazł silny odgłos w prasie izraelskiej. Pisze ona, że obok pamiętnika Anny Frank jest to najbardziej wstrząsający dokument zbrodni hitlerowskich.

*

W Haifie otwarta została wystawa prac Nikifora, popularnego polskiego naiwnego realisty z Krynicy. Wystawa została zorganizowana przez prof. Banacha z Krakowa i cieszy się dużym zainteresowaniem.

(VIC)

LITERAT wśród sportowców

WŁODZIMIERZ CHEŁMICKI

Obserwowałem w Wiśle grupę średnio i długodystansowców przygotowujących się na Olimpiadę do Rzymu. Długasy trenują intensywnie pod fachowym kierunkiem prezesa Mulaka i niestrudzonego trenera Kępki. Rano rozruch — 45 minut. O 11 biegi na okolicznych wzgórzach. O 17 gimnastyka. Wszystko to wymaga dużego wysiłku, wielkiej sprawności fizycznej i hartu. Doprawdy ludzie jeszcze nie zdają sobie sprawy z tego, że sport to nie zabawa, lecz bardzo ciężki trud. „Latający doktor" p. Stefan Lewandowski dotychczas traktował sport jako odprężenie po pracy umysłowej. W tej chwili cierpi w skrytości ducha, stając dosłownie na głowie, gnąc i maltretując swe długie ciało: nie dość ćwiczyć nogi, kiedy jest się biegaczem, trzeba równomiernie wzmacniać cały korpus. Najmniejszy zawodnik na świecie w tak ciężkiej próbie jak 3-kilometrowy bieg z przeszkodami, Żbikowski, czyni cudeńka na sali chodząc równie sprawnie na rękach jak na nogach. Dzielnie sekunduje mu miniaturowa małżonka. Podziwiam solidnie zbudowanego Mahometa (Makomaskiego), jak wielokrotnie już ponad normę wyciąga nogi do góry. Na sali dostrzegam znanych szampionów. Chromik i Baran nie ćwiczą z powodu chwilowej niedyspozycji. Nieobecny Krzyszkowiak. Dopełniają grona dwie lekkoatletki, świetne gimnastyczki.

Uśmiecha się dobrodusznie prezes, kiedy usiłuję nawiązać z nim fachową rozmowę. Przygniata mnie nie tylko znajomością rzeczy, lecz i logiką. Bronię się jak mogę, a kiedy nie wychodzi, cytuję słowa Nowaczyńskiego: „logiczne i komiczne". Wywołuje to pewne wahanie w oczach prezesa. Próbuję wtedy udowodnić słuszność twierdzenia o „nadludzkim wysiłku", z którym się spotykam na łamach „Przeglądu Sportowego".

— „Przeglądu" — tak, ale nie na łamach pisma „Lekkoatletyka". Istnieje tylko maksymalny wysiłek, na który stać organizm i którego przekroczyć nie można.

Jako literat szukający wszędzie przejawów ducha, powracam wciąż do tego tematu w rozmowach z olimpijczykami. Wszyscy oni są tego zdania, co prezes Mulak. Wszyscy, z wyjątkiem Chromika. Ten twierdzi, że jest jeszcze w człowieku to „COŚ", co przekracza normę i decyduje często o zwycięstwie. Przypominam sobie jego 3-kilometrowy bieg z przeszkodami w Sztokholmie, kiedy to zdobył złoty medal i po przekroczeniu mety omdlał. Zwracam uwagę na racjonalne odżywianie, które choć obfite i smaczne, nie zawsze jest tu stosowane. Cytuję niemieckie powiedzenie: „Man ist was man isst". Niestety u nas wszędzie jest jak kto chce — je się do syta i do smaku.

W rozmowach w cztery oczy poruszam temat bardziej delikatny. Wszyscy wraz z prezesem Mulakiem są zwolennikami małżeństwa, choć jeden z nich z czarującym, wiele mówiącym uśmiechem skarży się na objawy zazdrości u małżonki, drugi zaś przyznaje do upadku formy na skutek perypetii zakończonych rozwodem.

Z przyjemnością obcuję z tymi ludźmi. Są inteligentni i wrażliwi. Siła, nad wzmocnieniem której pracują z taką systematycznością i pasją, nie rozwija w nich złych mocy. Są pozbawieni brutalności i prawie zawiści. Porównuję ich z artystami i, o dziwo, to porównanie nie wypada na korzyść tych, których sztuka, zdawałoby się, winna uszlachetnić. Rozmawiam na ten temat z długasem, który w roku zeszłym wysunął się na czoło w swej grupie — Zimnym. Uważa on, że wspólnie znoszone trudy treningowe, a zwłaszcza konieczność wspomagania się w walce z obcokrajowcami, wyrabiają solidarność i gaszą złe skłonności. Ten harmonijnie zbudowany biegacz o łagodnym spojrzeniu jest „zimny" tylko w biegu, kiedy to nie tracąc głowy, orientując się dobrze w możliwościach własnych i konkurentów, trzeba taktycznie dobrze rozegrać bieg. Zdaje on sobie sprawę, że jest wytrzymały, lecz nie dość szybki i dlatego zwykle prowadzi (choć to kosztuje) dyktując świetnie wyczuwane tempo. Umie też bezkarnie dokonać trudnej sztuki, jaką jest zryw, zwany w ich języku „szpulą". Taka przerzutka z kroku długiego na krótki nie każdemu się udaje. Tym niewielu, którzy potrafią to uczynić i powrócić potem do normalnego rytmu, pozwala to oderwać się od przeciwników i osłabić ich odporność psychiczną. Obdarzony w dużym stopniu zdrowym rozsądkiem, „zimną" krwią, umiarem, Zimny nie unosi się nigdy, unikając niebezpieczeństwa tak zwanego przetrenowania. Jest to bardzo poważny kandydat na najwyższą odznakę na Olimpiadzie. Tego umiaru w treningu nie zachowuje często największy talent w tym gronie — Chromik. Wypada temu świetnemu zawodnikowi przypomnieć powiedzenie francuskie, że lepsze jest wrogiem dobrego.

Wiele spodziewać się można po Jochmanie, o którym wyraził się Putrament, że dostarczył mu największej emocji sportowej wygrywając po wspaniałym finiszu ze świetnym Niemcem Szmidtem. Jochman rozbraja niewinnym uśmiechem. Czyta mi swoje wiersze — wierny obraz jego duszy.

Jak sprzęgnięci biegną równym, jakby odmierzonym krokiem, dwaj bracia syjamscy: Orywał i Makomaski. Podobni z mocnej budowy, wzrostu i biegu. Patrząc na nich myślę: a może?

Ciemnooki, wytrzymały i wymowny Ożóg — to też kandydat na „dychę" (10 km). Świeży i mocny, nadzieja naszego sportu — to Baran. Skromny Bruszkowski też ma swoich zwolenników.

Kiedy patrzyłem na Lewandowskiego, jak samotnie z największą szybkością pokonywał przestrzeń, ogarnęła mnie wątpliwość, czy nie biegnie zbyt szybko w treningu przedsezonowym. Ale uspokoiłem się, gdy dostrzegłem jego dłuższy od innych krok (dzięki długim kończynom), jego wielką dynamikę, rzadko spotykaną u ludzi tak wysokich i smukłych, swobodę, z jaką to czynił (w przeciwieństwie do ćwiczeń gimnastycznych). Nie znajdzie chyba w Rzymie godnego siebie rywala! I pomyśleć, że ten człowiek żalił mi się, że w Polsce, w porównaniu do innych krajów, zwłaszcza Szwecji i Anglii, za mało jest zrozumienia dla sportu. Wielu ludzi u nas uważa, że „niepoważnie" jest biegać, gdy się jest lekarzem.

Kiedy mistrz Stefan kończył swą dzienną porcję (10 razy po 500 m.) zaproponował mi wyścig na 100 metrów. Mimo podeszłego wieku przyjąłem wezwanie. Porwałem się do biegu przegrywając o pierś (nie gwarantuję, czy nie w mej wyobraźni), tracąc mowę i pewność kroku.

I jak tu nie wierzyć w „nadludzki wysiłek"!

LISTY MUZYCZNE

(Dokończenie ze str. 3)

Brahms i Strawiński. Ależ żadne zestawienie. To tylko tak mówią, że jakiś program został ułożony z „myślą przewodnią", a plac im się od wiersza. Wiem, Brahms się nie podoba. Nie szkodzi. „Dziś w peruce Haendla intonuje Hallelujach, jutro wygrywa czardasze, potem występuje w roli solidnego symfonisty" — kpił z Brahmsa Wagner. A Debussy o motywach przewodnich Wagnera mówił, że jego „Nibelungi" to pokaźna księga adresowa. Więc lepiej już Brahms i układ koncertów bez „leitmotivów". A p. Szacilowska pięknie w Raspodii śpiewała, podobnie jak i w zeszłym sezonie w Pasji wg św. Mateusza. I jakie to zadowolenie, że Lublin na estradzie! To prawda, że brakują nam jeszcze Brahmsa Wariacje nt. Haydna, Koncert na skrzypce, wiolonczelę i orkiestrę i Niemieckie Requiem, ale widzę (słyszę), jak własnymi, lubelskimi siłami można te dzieła wykonać. Jeśli ma Pani jakiś wpływ na Radę Artystyczną (a cóż to za ciało?), to proszę o tym powiedzieć. Przy okazji może też Pani upomnieć się o więcej kontrastowych zestawień takich, jak np. na koncercie symfonicznym dnia 22 stycznia pod dyr. Andrzeja Cwojdzińskiego. Zawsze przecież można znaleźć jakieś określenie dla zupełnie zwykłego programu obejmującego Koncert klawesynowy (fortepianowy) Bacha i „Capriccio" na fortepian i orkiestrę z roku 1929 Strawińskiego. Wszystko się zgadza i pasuje: Bach — Strawiński. A jednak któryż to jeszcze pianista polski poza Żmudzińskim (oprócz prawie polskiego Fou Tsonga) pozwoli sobie na taki program? To ten sam Żmudziński przywiózł nam już Koncert fortepianowy B Brahmsa, którego z polskich pianistów nikt od czasów laureatki I konkursu chopinowskiego w 1927 r., Róży Etkin, nie grał. Audaces fortuna juvat. I Żmudzińskiemu i Strawińskiemu. To już nie „Petruszka", gdzie kompozytor przedstawia samego siebie, ale okres, w którym mówi o swoim stosunku do przeszłości, bo „Prawdziwa tradycja to nie świadek zamkniętej przeszłości, to siła żyjąca, która teraźniejszość oświeca i pobudza... zapewnia ciągłość tworzenia", jak sam pisał. Strawiński — neoklasyk. Strawiński „żerujący" na epokach i stylach, na psalmach średniowiecznych, na Pergolesim, Bachu, Rossinim i Czajkowskim, na cyrku i jazzie. Strawiński piszący „muzykę o muzyce". Strawiński obiektywny i zręczny montażysta, mistrz techniki i instrumentacji. Strawiński, dla którego komponować znaczy uporządkować pewną ilość tonów według pewnych interwałów. Strawiński — wielbiciel pastiche'u, bezproblematyczny (?) w „Capriccio" i myślący rzekomo o Weberze — „księciu muzyki". Strawiński — z nas kpi, z siebie, z muzyki? W 70 roku życia nastąpiło nowe salto mortale nie przewidziane przez przyjaciół i wrogów tego, który twierdził, że nie potrzebuje 12 tonów, bo ma dosyć roboty z siedmioma: powstał Septet, a w 1956 r. wykonano w Wenecji pod dyrekcją kompozytora „Canticum sacrum", dzieło budowane na podstawie techniki serialnej. W 1958 r., gdy kompozytor ma 76 lat, zostaje wystawiona jego suita na 12 tancerzy „Agon", suita dworskich form tanecznych francuskiego baroku, pisana starą techniką przechodzącą prawie niepostrzeżenie dla słuchaczy w technikę serialną i punktualistyczną. Strawiński — naśladowca? Nie: odnowiciel. Genialny odkrywca nowej rytmiki i instrumentacji. Strawiński — umysł o wielotorowych zainteresowaniach muzycznych. I dlatego po Bachu w Filharmonii Lubelskiej słuchaliśmy Strawińskiego.

Audaces fortuna juvat! Czego sobie, Pani i naszej Filharmonii życzy

Zbigniew Wielicki

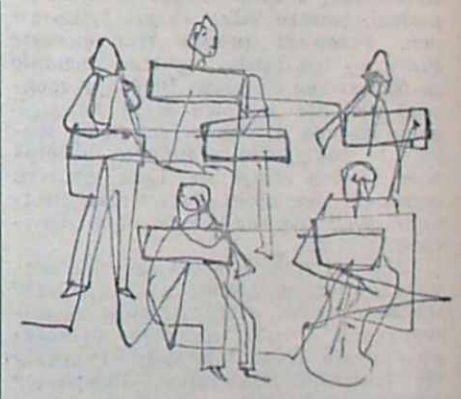

CZECHOW

w setną rocznicę urodzin

(Dokończenie ze str. 3)

humoresek, skondensowanych nowelek, także w utworach scenicznych lub w dłuższych opowiadaniach.

Nie oznacza to bynajmniej wyrzeczenia się liryzmu przez Czechowa, wręcz przeciwnie — jest on mistrzem wywoływania nastrojów lirycznych, szczególnie w utworach przeznaczonych na scenę.

„Mewa" i „Wiśniowy sad" — to komedio-dramaty liryczne, podobnie jak sztuki teatralne Żeromskiego. Siłą Czechowa jest zwartość kompozycyjna, wielka oszczędność środków wyrazu i tak zwane „mietkoje" — dosadne słowo, za pomocą którego trafia w sedno rzeczy do charakterystyki postaci i grup społecznych oraz przedstawiania zdarzeń. Za szczytowe osiągnięcie kompozycyjne w nowelistyce Czechowa uważa się opowieść o Dymitrze Jonyczu Starcewie (1898), prowincjonalnym lekarzu rosyjskiego „zachołustja", — opowieść o niezwykłym podobieństwie ideowym i tematycznym do „Siłaczki" Żeromskiego.

Czechow jest twórcą małej formy prozy artystycznej na terenie rosyjskim.

Mówił, że pisać z talentem — to znaczy pisać krótko, bo w ten sposób zdobywa się aktywność czytelnika. Pisać krótko, stwarzać prawdziwe i nieoczekiwane detale w rysunku obrazów, wprowadzać małą ilość osób, nie unikać struktur dramatycznych, pamiętać o roli każdego wyrazu.

Mówił: „Przywykłem do opowiadań składających się z początku i końca". Nie lubił ekspozycji w noweli. Postacie obrazował kilku kreskami, krajobrazem posługiwał się rzadko (w przeciwieństwie do Turgieniewa), chętnie stosował opowiadanie w opowiadaniu i niespodziewane rozwiązanie jako pointę potwierdzającą rolę przypadkowości w życiu.

Twierdził, że pisać, to znaczy wykreślać, dążyć do prostoty, do języka zwyczajnego. Zupełnie tak jak francuski rzeźbiarz Rodin, który uważał, że tworzyć rzeźbę znaczy usuwać z kawału marmuru wszystko co zbędne.

Czechow walczy ze sztampą językową, z zużytymi wyrażeniami, usuwa nadmiar określeń, przymiotników, a metafor i porównań używa rzadko, ale zawsze zaskakujących ostrością, np.: „Gleba tak doskonała, że można by posadzić hołoble a wyrośnie tarantas". (Czytelnikowi polskiemu mimo woli narzuca się w tych sprawach podobieństwo Czechowa do Prusa, który takie same kryteria stosował w swojej sztuce opowiadania. Mamy tu do czynienia właśnie z epiką pisarską wysokiego rzędu u obydwu pisarzy. Podobieństwa owe idą i w dziedzinie bogactwa słownika, zawsze konkretnego dla określenia indywidualności postaci. W prozie Czechowa czuje się również swoistą rytmikę, jako cechę stylistyczną, ale rytmikę pozbawioną patosu. Rzeczy i zjawiska zazwyczaj Czechow opisuje jako wrażenia ludzkie o przedmiotach, co pogłębia realizm obrazowania.

Nowatorstwo Czechowa w twórczości dramatycznej, znakomicie zaadaptowane przez Teatr Artystyczny Stanisławskiego w Moskwie, polega na przeciwstawieniu się koncepcji naturalistycznej teatru mieszczańskiego. Czechow unika zewnętrznej intrygi, dąży do wywołania nastroju zespołem wszystkich środków scenicznych, wprowadza dyskretny liryzm do wszystkich obrazów i w ten sposób kształtuje psychikę postaci działających. Ogromną rolę wyznacza długim pauzom i milczeniu (podobnie jak Norwid), w akcji grają nie tylko ludzie, ale i krajobraz, skąd płynie zagęszczenie wrażeń u widza. Czechow włada jednakowo prawdą zewnętrzną (zmysłową) jak i wewnętrzną (psychiczną).

Teatr Czechowa potęguje wrażenie przeplatania elementów dramatycznych komicznymi, niekiedy nawet farsowymi, wstrząsa widzem nie walką charakterów, ale dynamiką nastroju przy zachowaniu jednak prostoty i zwyczajności języka postaci dramatycznych (bez koturnów). Czechow jest tedy twórcą rosyjskiego dramatu poetyckiego tylko pod niektórymi względami podobnego do współczesnych mu dramatów modernistycznych.

I nic dziwnego, że Stanisławski, tworząc swój teatr artystyczny, zawiesił uskrzydloną mewę jako symbol swobody na kurtynie swojej sceny nowoczesnej, mewę poczętą z wyobraźni Czechowa. „Tak dalej żyć nie można" — oto słowa zamykające akcentem optymistycznym dramatyczną komedię pt. „Mewa" (1896), a nad melancholią przemijania wznosi się żarliwe wyznanie wiary Czechowa: „Człowiek potrzebuje nie majątku ziemskiego, nie parceli z domkiem, ale całej ziemi, całej przyrody, gdzie swobodnie mógłby przejawić swoje właściwości chęci i życzenia ducha" (opowiadanie pt. „Agrest").

„Żyć — znaczny pracować twórczo w umiłowanej pracy" — tymi słowami zamyka Czechow swój dramat o symbolicznej mewie, a kurtyna teatru Stanisławskiego opuszcza się wolno po skończonym spektaklu przed oczami zamyślonej publiczności.

Czar urzekającej sztuki Czechowa trwa dalej, idzie przez następne pokolenia swoich i obcych do dnia dzisiejszego.

Feliks Araszkiewicz

HELENA PLATTA

Z CYKLU „WIERSZE Z PIENIN"

Bryjarka

Nad nią toczy się okrągłość —
obłok: obrączka owczej wełny.
Bryjarka błyska brzuchem obłym,
wydęta wiatrem — szumu pełna.

Świerczki w jej ciele szczeć swą
stroszą
przygięte do biodrzastych zboczy,
gdy na jej czubie — nasze oczy
błękitnym krzyżem trawę kosza.

Modrzewiowy lasek

Wielogłos modrzewi uroczysty:
— nuty czytam, drążone w strumieniu.
Pluskają szyszki rzadko — monodii
falistej
tokiem.
Ciurkają cienie
w kroplach.
Domki szczawnickie
wzdychają dymem, błądząc w mgiełce.
Polatuje od siekaniny pól
hollaho-hoo:
góralski tercet.

W Państwowej Operetce w Lublinie odbyła się prapremiera „Kariery panny Mary" E. Żytomirskiego i J. Talarczyka w inscenizacji i reżyserii Z. Weissówny. Ze względów technicznych omówienie zamieścimy w następnym numerze „Kameny".

DIONIZY MALISZEWSKI

Mazurek Szopena

Panu Arturowi Rubinsteinowi

Jakże wysoko
wzlatuje ptakiem niecierpliwym
spod twoich rąk czarodziejskich
pierwszy dźwięk.

I oto nagle —
niebo błękitne rozpina się
nad złotą powodzią zbóż.

Piaszczystym gościńcem
w surducie czarnym
zmęczony idzie Szopen
kapelusz trzymając w ręku.

Dzieci wiejskie pyta
o drogę do Żelazowej Woli
— do domu swojego dzieciństwa.

uśmiecha się do wierzb,
topól, brzóz,
rozmawia ze słońcem, wiatrem i ludźmi.

Słucham go idącego tak przez czas
przez Polskę —
przez serce moje,

słucham każdego dźwięku
padającego w wzruszeń głąb.

MARIAN OŚNIAŁOWSKI

Małgorzatka

„Za górami, za lasami
tańcowała Małgorzatka z cyganami".

Biały księżyc, czarny las,
Małgorzatko, módl się za nas.

Wierzę w twój szalony taniec,
silniejszy niż przemijanie,

w księżyc i w skrzypce cygańskie,
we sny, w fantazje bezpańskie.

Ogłuszony maszynami
bez ciebie niczym jestem, niczym.

Ocal nas przed upiorem nudy,

módl się za nami, pamiętaj o nas,
obłąkana Małgorzatko, natchniona.

Tańcz świtami, północami,
jak tańczyłaś przed wiekami.

JERZY CZAJKOWSKI

Sanatorium

Dr A. Bireckiej

obszar przestrzeni zamknięty
siatką drucianą
w nim cienie sunące

choć smak otwockich żywic
ułatwia oddech
ja chcę wyjść
w otwartą przestrzeń
w słońce
idę
osłabłe nogi potykają się o kamień
upadłem
któż kolczastą bramę mi otworzy

w osamotnieniu są tylko cienie

W KRĘGU NOWOCZESNEJ SIELANKI

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

DWA zbiorki poetyckie oraz ostatnio wydany tom nowel *) J. B. Ożoga stanowią rzadki przykład konsekwentnej kontynuacji przez pisarza starszego pokolenia linii ideowej i artystycznej, obranej już w młodości. Linią tą, a raczej programem jest autentyzm, którego Ożóg pozostał najwierniejszym wyznawcą i apologetą: jego wiersze i prozą wydobywają nadal tematykę i wątki fabuły, motywy i metafory materii poetyckiej z własnych, autobiograficznych przeżyć pisarza, związanych na ogół z krajem lat dziecinnych i męskich, dojrzałych powrotów — wsią. Nie dziw więc, że konstrukcją wspólną dla liryki i prozy Ożoga, także dla „Zielonego wiatru", „Pani młodej" i „Chustki" jest retrospektywna wizja wspomnienia, nadająca wywoływanym z przeszłości obrazom swoisty, miękki koloryt emocjonalny.

Ów koloryt w połączeniu z wytrwałym urzeczeniem wsią zbliża liryki i prozę Ożoga, co szczególnie okazują jego nowele, do sielanki, gatunku o wielowiekowej tradycji w zbieraniu i artystycznej obróbce wszystkiego, co ma związek nie tylko ze wsią i chłopem ale także z przyrodą, krajobrazem, biologicznym, zmysłowym odczuwaniem świata. Jednakże w ujęciu Ożoga sielanka zrywa pokrewieństwo z sielskim, naiwnie, sentymentalnie utopijnym i nieprawdziwym wizerunkiem wsi, staje się nowoczesna, realistyczna, wprowadza do tego wizerunku zmarszczki tragizmu, skrzywienia bólu, przesyca go na wskroś ludzkim i psychologicznie udokumentowanym, gorzkim smutkiem. Szczególnie dobrze ów proces unowocześniania się sielanki można prześledzić na utworach z „Chustki", opowieściach o — używając anachronicznego dziś zwrotu — wieśniakach wartych z pozoru jedynie zapisu, utrwalenia w anegdocie czy nawet facecji, w istocie zaś ludziach o przejmującym na wskroś wyobraźnię i uczucie czytelnika, tragicznym człowieczeństwie.

Toteż właśnie „Chustka" wydaje mi się najwięcej obiecującą i zapowiadającą w poszerzaniu kręgu nowoczesnej sielanki publikacją z ostatnich książek Jana Bolesława Ożoga. Jego „Zielony wiatr" i „Pani młoda" gromadząc w sobie liryki napisane niewątpliwie z dużym smakiem i poetyckim doświadczeniem nie dokumentują chyba istotnych postępów w tym „pionie" twórczości Ożoga poza pewnymi wzbogaceniami tematycznymi (np. cykl wierszy z Albanii). Takich świadectw dobrej roboty, nużących jednak z lekka upartym nawrotem pisarza do tych samych motywów i technik artystycznych (wziętych przede wszystkim z ballady i pieśni ludowej) mamy dość w każdym tomie poetyckim Ożoga i mnożeniem ich pisarz nie wzmacnia, ale — co naturalne — osłabia zainteresowanie czytelnika dla prezentowanej mu koncepcji i metody twórczej, a nawet może w nim wywołać (dobrze to widać na omawiających Ożoga krytykach) niepożądane wrażenie doktrynerskiej skostniałości autentyzmu. Ale proza Ożoga — wspominam przy tej okazji bardzo ciekawą i udaną „Kulę" — jest zbyt wielką dla tego kierunku szansą, by wolno ją było autorowi „Chustki" ograniczać do okazjonalnych jedynie i sporadycznych eksperymentów...

*) *Jan Bolesław Ożóg: „Zielony wiatr", Kraków 1958, Wydawnictwo Literackie, s. 114, 1 nlb. „Pani młoda", Kraków 1959, j.w. s. 70, 2 nlb. „Chustka", Warszawa 1959, Czytelnik, s. 154, 2 nlb.*

Z miłości

Od pań swawolnych do zakonnicy portugalskiej

Jest to kolejny felieton z cyklu poświęconego sławnym parom kochanków, które trwale zapisały się w historii literatury.

Renesans był epoką pogodzenia się człowieka ze światem. Człowiek Odrodzenia spod mistycznych obłoków zeszedł na ziemię, ciesząc się tym co jest, a nie dręcząc tęsknotą za tym, czego nie ma i być nie może. Także i w miłości. W miłości niezaprzeczalnie jest — ciało. Miłość renesensowa to przede wszystkim i wyłącznie prawie miłość cielesna, uprawiana w myśl antycznego „carpe diem". Motyw przemijającej urody ciała, z której korzystać trzeba póki czas, rozbrzmiewa przemożnie w kunsztownej liryce miłosnej Ronsarda, adresowanej do kilku pono jak najbardziej konkretnych pań. Swoistym hymnem ku czci ciała są osławione, a misternie przez Boya na polsko-reyowy język przełożone. „Żywoty pań swawolnych". Gdy poeci dawnych lat pieścili wizerunki idealnych bogdanek, Brantôme opowiada się zdecydowanie za realizmem w miłości: „Owo poniechamy snadnie rozpatrywania punktów tak doskonałych cudnością, jakom o nich powiedał lub jakie nam maluią'y ucieszymy się poglądaniem na nasze pospolite piękności: nie iż bym chciał rzec „pospolite" w złem znaczeniu, bowiem posiadamy tak rzadkie iż, na mą cześć! więcey wartczą niźli wszystkie owe, które nasi fantasticzni poeci, nasi wybredni malarze y nasi górni opiewacze piękności umieliby przedstawić".

Miłość renesansowa jest chutliwa, sprośna, swawolna, gwałtowna, nie bywa samobójczej; niektórzy z zazdrosnej miłości zabijali, nikt z miłości nie umierał — w każdym bądź razie literatura milczy o tym. Miłość jako siła wyniszczająca tego, kto jej doznaje, miłość-udręka, miłość-zapamiętanie przemówi dopiero w rozdartej, niespokojnej, namiętnej epoce baroku. Literatura czasów baroku wydała nieporównane postacie kochanków fikcyjnych — dość wspomnieć tu dwa nazwiska: Szekspir i Racine; życie pozostawiło przejmujący dokument znany pod nazwą listów zakonnicy portugalskiej.

Nazywała się Marianna Alcoforado, żyła w XVII wieku, pochodziła ze znakomitej rodziny portugalskiej. Czasy, zwłaszcza dla Portugalii, dobijającej się niepodległości, były niespokojne. W trosce o byt córek, rodzice Marianny oddali je do klasztoru. Marianna znalazła się tam jako młodziutka dziewczyna, nie wiedząc nic o życiu ani o miłości. Miłość zjawiła się jej w postaci francuskiego oficera, markiza de Chamilly, który ze swym oddziałem przedefilował pod oknami klasztoru w Bei: „Przy tym oknie stałam onego nieszczęsnego dnia, kiedy po raz pierwszy uczułam oznaki mej zgubnej miłości. Zdawało mi się, jakobyś starał się mnie przypodobać, pomimo, żeś mnie jeszcze nie znał. Byłam pewna, żeś mnie zauważył między wszystkimi, z którymi byłam razem, a jakeś przystanął, wyobraziłam sobie, żeś zapragnął, bym cię dokładnie ujrzała, i całą twoją zręczność, z jaką konia ostrogami wspiąłeś, podziwiać mogła..." *)

Ówczesne obyczaje klasztorne były dość szczególne. Między zaciężnym wojakiem a siostrą zakonną nie skończyło się na wymianie spojrzeń. Urodziwy markiz potrafił przedostać się do klasztoru, nawiązać z Marianną znajomość i więcej niż tylko znajomość: „Alem na oślep i bez pamięci ci się oddała, i nie byłam w stanie o czymśkolwiek myśleć, co by moją rozkosz zatruć ani powstrzymać mogło, by się nie upijać całym moim jestestwem płomienistymi dowodami Twojej namiętności".

Płomieniste rozkosze trwały krótko, może parę tygodni. Chamilly, raczej przerażony niż zachwycony nieokiełzaną namiętnością swej nowej kochanki, przy pierwszej nadarzającej się okazji wsiadł na okręt — i tyle go widziano. Marianna została w swym klasztorze, upojona, zatrutą, rozkochana, zazdrosna, udręczona, zapamiętała: „Straciłam dobre imię i cześć moją; naraziłam się na najstraszniejszy gniew rodziny, na cały rygor przepisów naszego kraju przeciw zakonnicom i na całą twoją niewdzięczność, która mi się wydaje być największym z mych wszystkich nieszczęść; a mimo wszystko czuję tak jasno, że moje wyrzuty sumienia nie są szczere, że z całego serca wystawiłabym się na stokroć większe niebezpieczeństwa z miłości ku tobie i że odczuwam smutną radość, iż całe moje życie i cześć na jedną kartę postawiłam".

W kilku listach pisanych w pośpiechu, w uniesieniu, bezładnie, bez troski o kompozycję — Marianna zamknęła swą miłość, zazdrość, świadomość, że człowiek, którego kochała nieprzytomnie — nie kocha jej, a nawet nie jest w stanie zrozumieć i ocenić jej uczucia. A jak bardzo Chamilly był tego uczucia niegodny, najlepiej mówi fakt, iż nie zawahał się wydać jej listów, jej serca — na pastwę publiczną. Co prawda listy zakonnicy ukazały się w przekładzie i anonimowo, tak iż autorki przez wiele lat nie identyfikowano, jeszcze Rousseau sądził, iż listy, tchnące takim żarem, być muszą literacką fikcją, stworzoną — przez mężczyznę...

Marianna w porywie uczuć osiągnęła to, co jest wysokim celem wszelkiej sztuki: absolutną szczerość przeżycia i autentyzm wyrazu. Listy jej są krzykiem serca, które nie miało już nic do oddania, nic do stracenia, nic do ukrycia. Stanowią same przez się dzieło o wielkim walorze estetycznym, a zarazem są nieporównanym komentarzem do zrozumienia epoki, która zrodziła Julię, Ofelię, Fedrę.

AMA

*) Listy Marianny Alcoforado cytuję w przekładzie Stanisława Przybyszewskiego, PZW 1959.

Prawie baedeker lubelski

Stale rewelacyjny organ

MIROSŁAWA DERECKIEGO

CZĘŚĆ I — LOKALE

Pan Mirosław Derecki ma zaszczyt przedstawić:

KLUB „NORA"

Tam rojno i gwarno. Na ścianach patataj, patataj galopują ogiery, ale nie jakieś tam kossakowskie albo abramowiczowskie, tylko prawdziwe chińskie. Słup na środku jest zielony jak murawa, płoną żyrandole, co je z Pałacu Kultury i Nauki wyszabrowali... i piwa można się napić...

A dla oportunistów to nawet „Ameryka" i „Life"... Dobrze w tym Klubie.

W ponure, jesienne wieczory organizuje się rozrywki. Schodzą się wszyscy byli kierownicy i działacze (sala jest wtedy nabita po brzegi), wymyślają nową nazwę Klubu i zwalniają kierownika. Są to tzw. konkursy erudycji. Ostatnio Klub nazywał się Agora, z uwagi na językowe zainteresowania kierownika... Po ostatnim konkursie, Klub nazwano „Nora".

1. Z uwagi na konie:

Konie najlepiej czują się w norach albo jaskiniach.

(Zoologia dla III kl. szk. podst., str. 24).

2. Z uwagi na reminiscencje literackie:

...literat Ibsen napisał sztukę pt. „Nora"...

(Wszechnica Radiowa, z. II)

Do Klubu przychodzą literaci, a ta „Nora" jest podobno bardzo interesująca, więc i Klub może stać się interesujący, albo coś w tym rodzaju...

Jak bywalcy są bardzo grzeczni, to im się teatrzyki studenckie pokazuje. Albo wieczorki taneczne im się urządza... Kursa na skrzypcach kwili, a deszcz w szyby zacina... zacina... Ech, Jezu... Chryste..!

Nastrój w Klubie (proponowany przez Zarząd):

Cieszmy się, cieszmy, ach, jak nam dobrze razem!

Interesujące: Wybieg estetyczno-sanitarny.

Godne pochwały: Nareszcie wywalczono dotację na zakup dwóch kłusaków koreańskich!

Rewelacyjna wiadomość z ostatniej chwili!!! Podobno kierownik Klubu ma prowadzić kursy savoir vivre'u!!!

CZĘŚĆ II — LUDZIE

Motto: *„O roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju!"*

(...z mojego pierwszego poematu...)

Moc Mistrza Zbigniewa

W tym roku w Lublinie mówi się wiele o Czechowiczu. W związku z tym w naszym mieście niesłychanie wzrosło pogłowie młodych poetów.

Lublinie, grodzie poezji tajemnej!

Na Starym Mieście się zbierają, siwa dama drzwi otwiera. A oto i Loża. Cicho szumią cyprysy, woń się niesie... Oto i sam Wielki Mistrz Ceremonii! Zasiadł w karle ogromnym, kawę popija. Nadchodzi Chwila! Spiskowcy z „Promu" (i inni naiwni intelektualiści) podrywają się na baczność i szybko rozszyfrowują swoje ostatnie utwory.

A Mistrz Zbigniew łaskawie ocenia: „to, mówi, pisze się przez erzet, a tamto przez u zwykłe..." Na zakończenie części oficjalnej wzdycha: „Mój Boże! Już szesnaście lat minęło, a młodzież wciąż taka pesymistyczna..."

Później następuje część artystyczna. Dyżurny idzie po kawę, a panna Klarunia podnosi wieko klawikordu... — i płyną w salę pierwsze tony „Koników polnych" Klechniowskiej.

*

Do młodych poetów nie należy oczywiście zaliczać Andrzeja T. On już nie jest młodym poetą. On jest już całkiem średnim poetą! Powieść kryminalną nawet pisze! Ostatnio reinkarnacja najbardziej mu odpowiada! Chodzi teraz po Lublinie i wszystkim opowiada, że jest drugim wcieleniem Marii Konopnickiej i nawet sobie tiurniurę pod marynarką przymocował.

A kiedy indziej rozprawia o prawach Einsteina (a kwadrat plus b kwadrat równa się c kwadrat) i innych...

Ale ja już wolę nic więcej nie pisać o Andrzeju T., bo on jeszcze powie, że to nic nowego i że zna jednego Anglika z grupy... grupy... 'Teetotaler!, który 14 stycznia 1928 roku, o godz. 4.30 rano, napisał o nim, Andrzeju, to samo, a nawet lepiej, albo że to samo piszą o nim w Idysz Encyclopedia, strona 20, czwarty wiersz od dołu plus ilustracje...

Godne pochwały: Mecenasi młodych poetów wysłali do Kanady list z prośbą o przysłanie zastrzyków „Antimania grandiosa".

Wiadomość z ostatniej chwili!

Andrzej T. zrezygnował z Marii Konopnickiej. Jest teraz wcieleniem Ghandiego. Sprawił sobie kozę. Ona wszędzie za nim chodzi A jak ktoś tylko spróbuje Andrzeja krytykować, to bodzie...

NOTY

ZBIOROWE WYDANIE UTWORÓW CZECHOWICZA. 26 marca w Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej odbyła się konferencja Komitetu Redakcyjnego zbiorowego wydania dzieł Czechowicza, w której poza poetami lubelskimi uczestniczyli — warszawscy i łódzcy: Piętak, Pollak, Śpiewak, Czernik i Mrozowski. Ustalono, że wydanie to obejmie cztery tomy, na które złożą się: poezje oryginalne i przekłady poetyckie (t. I), proza oryginalna i tłumaczona (opowiadania, dramaty, słuchowiska radiowe, eseje, recenzje itd. — t. II), wybór listów (t. III), opracowania monograficzne, eseje, recenzje dotyczące twórczości Czechowicza (t. IV). Poszczególne tomy, zaopatrzone przypisami i ilustrowane zdjęciami, będą się ukazywać w odstępach rocznych począwszy od r. 1961, tak, żeby na 25-lecie śmierci poety w r. 1964 była już wydana całość.

JAN BRZECHWA SUGERUJE w felietonie „Cztery litery" („Przegląd Kulturalny" nr 12) konieczność przeprowadzenia reformy naszej ortografii i wychodząc z założenia, że istotna właściwość języka polskiego polega na tym, iż „należy pisać tak, jak się wymawia, a wymawiać tak, jak się pisze", proponuje m. in.: usunięcie litery ch i zastąpienie sz, cz, i rz pojedynczymi literami ze znakiem diakrytycznym nad nimi, jak to jest w języku czeskim. Czyżby Brzechwa nie czuł różnicy między wymową wyrazów „chata i charakter" a wyrazów „hańba i honor"? Z felietonem Brzechwy dowcipnie rozprawił się Olgierd Terlecki w n-rze 13 „Życia Literackiego".

SZKÓŁKA DLA ANALFABETÓW. Widocznie pod wpływem tych felietonów Polskie Radio (Warszawa I) wprowadziło do audycji „Muzyka i aktualności" (29 marca, godz. 8.5) „dyktando", które ma nauczyć, jak się pisze takie wyrazy, jak: dobranoc, dzień dobry, dobry wieczór, do widzenia, na przykład itd. (sic!)

NIE BARDZO DIALEKTYCZNIE. Zygmunt Kałużyński w interesującym artykule „Walka z cieniem, czyli ze szmirą" („Nowa Kultura" nr 13) zaliczył do grafomanów Mayne-Reida (1818—1883), Ridera Haggarda i Karola Maya. O ostatniego nie będziemy kruszyli kopii, pozostawiając to jaszczowi; o Haggardzie można mieć różne zdanie, w każdym bądź razie jego „Kopalnie króla Salomona" „Alan Quatermann" i „Ona" to nie grafomania. Ale Mayne-Reid to klasyk awanturniczej powieści młodzieżowej. Trzeba przecież uwzględnić lata, w których tworzył i kładł podwaliny pod ten gatunek powieściowy. Bo jeśli tak dalej pójdzie, to jeszcze Fenimora Coopera zaliczy się też do grafomanów.

TRUDNO ODMÓWIĆ SŁUSZNOŚCI Zbigniewowi Żabickiemu, który w gwałtownej diatrybie „Rodziewiczówna — klasyk złej popularności", zamieszczonej w n-rze 14 „Nowej Kultury", sprowadza autorkę „Strasznego dziadunia" do należnych jej w historii literatury wymiarów — miernej i płytkiej pisarki. Z jednym tylko nie można się zgodzić: mimo wszystko lepiej bijmy Rodziewiczównę w kilkudziesięciotysięcznych nakładach „dla mas", niż mielibyśmy to czynić z naszymi naśladowcami Conan-Doyle'a i Agaty Christe (nie mówię tu jednak o autorze ukrywającym się pod pseudonimem Alexa). Przynajmniej polszczyzna o ileś niebo wyższa!

-kaj-

Nowy przewodnik po Lublinie

„By poznać dobrze jakiekolwiek miasto, trzeba, chodząc po jego ulicach i placach, oglądać zabytki, podziwiać piękno jego położenia, parki i zieleńce, układ urbanistyczny, wystrój gmachów" — tymi słowy zaczyna się wydany ostatnio przez Lubelską Spółdzielnię Wydawniczą nakładem PTTK „Przewodnik po Lublinie". Autorom tego ciekawego i od dawna oczekiwanego wydawnictwa z pewnością zależało właśnie na tym, by przyjść z pomocą turystom, którzy w stosunkowo krótkim czasie pragną poznać nasze miasto. Lublin jest przecież miastem mającym bardzo bogatą przeszłość, utrwaloną w postaci licznych zabytków, a jeśli dodamy jeszcze do tego jego niezwykle intensywny rozwój, zrozumiemy wówczas, jak potrzebne było zastąpienie starego, wydanego 28 lat temu przewodnika nowym i aktualnym informatorem.

„Przewodnik po Lublinie" jest pracą zbiorową. Rozpoczyna go artykuł Tadeusza Wilgata pt. „Położenie miasta". Autor jego pisze m. in. o przyczynach, dzięki którym Lublin zdystansował inne miasta położone na Wyżynie Lubelskiej (chodzi tu głównie o centralne położenie, które ułatwiło krzyżowanie ważnych dróg handlowych, a także o dogodne położenie topograficzne). Specjalne uznanie należy się pracy Stefana Wojciechowskiego pt. „Historia miasta". Z pracy tej można się dowiedzieć o czasach, w których po raz pierwszy osiadł człowiek na Lubelszczyźnie, o tym, że już w XI wieku istniała w naszym mieście władza cywilna, administracyjno - gospodarcza i wojskowa. Warto podkreślić, że autor bardzo umiejętnie wiąże sprawy historyczne, społeczno-polityczne z rozwojem kultury, a zwłaszcza literatury, przypominając sylwetki wielkich uczonych, muzyków i pisarzy lubelskich. Kontynuacją tego artykułu jest szkic Stanisława Pajdowskiego, który zajmuje się dziejami naszego miasta po roku 1918, poświęcając jeszcze dwa osobne artykuły opisowi okolic Lublina i Majdankowi. Najobszerniejsza praca — pióra Henryka Gawareckiego — poświęcona jest zabytkom Lublina i obok wymienionego już artykułu S. Wojciechowskiego stanowi najcenniejszą pozycję.

„Przewodnik" nie ogranicza się jednak tylko do przeszłości i teraźniejszości, wybiega również w przyszłość, ukazując w artykule Czesława Gawdzika śmiałe perspektywy rozwoju naszego miasta. Interesujący, jednak zbyt ubogi, jest dział zatytułowany „Lublin w liczbach". To samo, niestety, da się powiedzieć i o „Informacjach". Zmęczony i zgłodniały turysta znajdzie wprawdzie wykaz hoteli, restauracji, kawiarń, barów, kin, teatrów itd., lecz informacje te są zbyt skąpe. Brak godzin, w których czynne są muzea, często brak numerów telefonów poszczególnych instytucji, czasami podana jest tylko ulica — bez numeru domu. Jeśli chodzi o władze terenowe, wymieniono tylko adresy MRN, PRN i WRN, z klubów sportowych brakuje nawet „Lublinianki", MKS-u, AZS-u, itd.

Poważnym mankamentem „Przewodnika" jest to, że zamiast planu całego Lublina, dołączono tylko plan śródmieścia. Przydałaby się też porządniejsza adiustacja. Może wówczas tytuły rozdziałów w tekście i w spisie treści brzmiałyby jednakowo, a Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza figurowałaby na karcie tytułowej nie jako nakładca — lecz wydawca.

Wymienione braki nie umniejszają jednak wartości „Przewodnika", który otrzymał staranną i bogatą szatę graficzną, opracowaną przez Krzysztofa Kurzątkowskiego.

ELŻBIETA ROSIAK

Lublin. Przewodnik. Lublin 1959. Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza. Nakładem Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. s. 124, 4 nlb.

Z życia szkół lubelskich

Hasło „1000 szkół na 1000-lecie" spotkało się z żywym przyjęciem wśród mieszkańców Lubelszczyzny. Świadczy o tym ilość budowanych nowych obiektów, boisk, zadeklarowanych sum na fundusz budowy szkół, świadczą liczne czyny społeczne. W samym tylko miesiącu marcu wmurowano kamienie węgielne pod kilka szkół — pomników Tysiąclecia. Budowę nowej szkoły rozpoczęto m. in. w Tyśmienicy, przy czym aktu wmurowania kamienia węgielnego dokonał I sekretarz KW PZPR tow. Władysław Kozdra. Fundatorem szkoły jest Wojewódzki Zarząd Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Lublinie. Warto tu podkreślić ofiarność miejscowego społeczeństwa, które pośpieszyło z pomocą budowniczym. Dobry przykład rodziców nie pozostał bez echa u dzieci, które zobowiązały się do tego, że codziennie każde z nich będzie przynosić na teren budowy po jednym kamieniu. W ten sposób przyczynią się one jednocześnie do zaoszczędzenia cegły i do oczyszczenia okolicznych pól. W ślady powiatu parczewskiego poszedł powiat włodawski. Jeszcze w bieżącym roku powstaną szkoły w Dańcach, Lipinkach, Wytycznie, Zaliszczu i Żukowie. Ta ostatnia szkoła zostanie oddana do użytku już 1 maja dzięki dodatkowym zobowiązaniom budowniczych. Nową szkołę otrzyma też Ostrówek w powiecie lubartowskim. W marcu bowiem I sekretarz KW PZPR tow. Władysław Kozdra dokonał aktu wmurowania kamienia węgielnego pod budowę nowej szkoły. W tej uroczystości wzięli także udział: mgr Paweł Dąbek — przewodniczący PWRN, tow. Jan Kisielewicz — zastępca przewodniczącego PWRN, prof. dr Grzegorz Seidler — rektor UMCS i dr Franciszek Wojnar — wicekurator Okręgu Szkolnego Lubelskiego.

*

W marcu br. z inicjatywy Wydziału Młodzieży Szkolnej KW ZMS oraz KM ZMS odbyła się narada młodych nauczycieli lubelskich. Uczestniczyli w niej także przedstawiciele Kuratorium, Inspektoratu Oświaty i Partii. Celem tego spotkania było zacieśnienie współpracy między ZMS a władzami szkolnymi i młodymi nauczycielami, którym szczególnie bliska jest sprawa wychowania młodzieży.

*

Inspektorat Oświaty i PWRN zwróciły się z apelem do szkół lubelskich, by wzięły jak najżywszy udział w imprezach organizowanych dla uczczenia 1000-lecia Państwa Polskiego. M. in. odbędzie się w dniu 24 kwietnia konkurs recytatorski, w dniu zaś 9 maja pokazy zespołów dramatycznych. Przewidziane są również liczne wystawy: filatelistyczna, plastyczna, fotografii itd.

*

We wszystkich szkołach podstawowych na terenie Lublina odbywają się trzecie, ostatnie już eliminacje ortograficzne przed zawodami międzyszkolnymi. Tematyka konkursowa prac pisemnych jest przewidziana dla uczniów klas V, VI i VII, przy czym nacisk położony został na wyrazy z: rz, ż, ó, u, ch, h, i, j.

*

W marcu odbyło się spotkanie uczniów klas VI i VII Szkoły Podstawowej nr 1 w Lublinie z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim. Po spotkaniu młodzież pożegnała poetę kwiatami, dziękując mu za miły wieczór i za autografy na egzemplarzach wykupionych przez siebie tomików „Wierszy wybranych" oraz wspomnień obozowych „Serca za drutem".

*

Na słowa zachęty i uznania zasłużyli sobie harcerze ze Szkoły Podstawowej nr 15, którzy przygotowali dla kolegów z innych szkół inscenizację dwóch bajek: „Kopciuszka" i „Księżniczkę na grochu".

*

Dobrze pracuje zespół recytatorski w Liceum Męskim TPD im. J. Zamojskiego w Lublinie, liczący 10 członków. Siedmiu z nich brało udział w eliminacjach miejskich, które odbyły się w marcu, przy czym odpadł z nich tylko 1. Największym zainteresowaniem recytatorów cieszy się twórczość Gałczyńskiego, Leśmiana i Sienkiewicza.

Oprac. ELŻBIETA ROSIAK

O czym pisała „Kamena" przed 25 laty

Nr 18—19 „Kameny" za kwiecień i maj 1935 roku był w całości poświęcony poezji tatrzańskiej i zawierał szkic literacki Tadeusza Bocheńskiego „Tatry w polskiej poezji powojennej", wiersze Włodzimierza Pietrzaka, Stanisława Czernika, Jana Kotta, Jana Szczepańskiego, Leopolda Lewina, K. A. Jaworskiego, fragment sztuki „Karczma" H. i J. M. Rytardów, „Przepaść" Jana Alfreda Szczepańskiego, fragment powieści Marii Szczepańskiej, „Fragment z dni górskich" J. A. Szczepańskiego, artykuł „Tatry w literaturze słowackiej" Stanisława Meciara, przekłady z poezji słowackiej K. A. Jaworskiego (Svetozar Vajansky, Peter Hostinsky i Ludo Ondrejow) „Góry" Heredii w tłum. T. Bocheńskiego, pirenejski wiersz Rosy Bailly w przekładzie J. Wieleżyńskiej, urywek z „Dziennika tatrzańskiego T. Bocheńskiego, fragment noweli K. A. Jaworskiego „Exodus", poeci i taternicy o górach (wypowiedzi) i noty. Dwie wkładki linorytowe Zenona Waśniewskiego „Z Tatr".

WIERSZE OBOZOWE

Wkrótce ma się ukazać wybór wierszy więźniarek obozu w Ravensbrück z ilustracjami i okładką Marii Neumann-Hiszpańskiej. Około 130 stron druku. Cena zł 20.

Zamówienia subskrypcyjne należy przesyłać do Zarządu Okręgu Warszawskiego ZBoWiD, Warszawa 10, ul. Rutkowskiego 15, Klub Ravensbrück, wpłacając na konto PKO OM Nr 1-9-121454 w Warszawie należność w wysokości wartości zamówionych egzemplarzy plus porto zł. 1.50.

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36.40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 1535. 4.IV.1960. S-2.